



6575.

JANA KAZIMIERZA WAZY
W I Ę Z I E N I E
WE FRANCYI.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA z XVII. WIEKU

ALEXANDRA BRŃNIKOWSKIEGO

*z niemieckiego na oyczysty ięzyk
przełożona.*



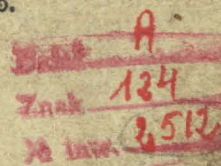
TOM I.
(z ryciną)



W WARSZAWIE

W Drukarni Józefa Węckiego NRO 463, obok Ra-
tusza Głównego.

1828.



WYDAWANIE WARSZAWY

WILKIE

WILKIE

Za pozwoleniem Cenzury rządowej.



Nr 1883



Dział A
Znak 124
M inw. 2512



*Widok więzienia J. Kazimierza
w Cisteron?*

I.
JAN KAZIMIERZ W PODRÓŻY MORSKIĘ DO
HISZPANII PRZYBIJA DO BRZEGÓW PO-
ŁUDNIOWEY FRANCYI.

MINEŁO czternaste południe miesiąca
Maia, roku tysiąc sześć set trzydzie-
ści osmego, kiedy na maléy krypie po-
zatoce Prowanckiey *Saint Chamans* do-
pływał pewny podróżny do miasteczka
les Martigues. Po kilku burzliwych
dniach; w owym wypogodziło się po-
wietrze: czarnoszare baszty tameczne-
go zamku, który *wieżą koźłą* nazywa-
ią (*tour de bouc*), promieniami za-
padającego słońca złoczone, topiły swo-
ie iaskrawe obrazy w rozlewie zatoki:
*tumany dymu ulatującego z mnogich
kuźnic ostrowa,* który leży w środku
zatoki, ulatały po nad miastem i zam-

kiem, a żagle galery, która w przystani stała na kotwicach i miała pozór gotowości odbicia od brzegu, obwisły ku pomostowi. Na banderze tego statku powiewał czerwony, koroną uwieńczony, lew Genueski, a krzykliwe wołanie żeglarzów włoskich rozlegało się po przestworze ukojonej wody. Wśród takowego stanu powietrza i wody przebierały wiosła kropy podróznego, a on zdawał się gubić w głębokiem rozpamiętywaniu. Od czasu do czasu napędzał wprawdzie swoich przewoźników do pośpiechu: przecież oczy jego rzadko kiedy zwróciły się na cel jego morskiej przejażdki, na miasto *les Martigues*, którego domy ciągnęły się wzdłuż pomorza, winogrodami i oliwnemi sadami upstrzonego; ale to z boku na zamek, to w tył na galerę. Jego przewoźnicy probowali wciągnąć go w rozmowę: lecz albo dla tego że był czem innem zaięty,

albo że niedostatecznie rozumiał język *oe*; gadatliwi Prowansale kilka razy musieli iedną rzecz powtórzyć nim on językiem *oui* odpowiedział im w kilku, szybko i cudzoziemskim akcentem wyrzeczonych, słowach. Przybito narreszcie do przystani: nieznaiomy uiscił się z należnego maytkom myta, które, wnosząc z ich podziękowań, więcéy im przypadło do smaku, niż iednozgóskowa z nim rozmowa: potem obwinał się w płaszcz, wyskoczył na brzeg i żwawym krokiem udał się przez wzgorzyste pobrzeże na rynek miéyski z którego był otwarty widok na zatokę. Tu zastał wszystko w poruszeniu. Gromada ludzi, większa niż zwyczajnie w tak małym zakątku, to się skupiała gwarząc między sobą, to przesuwiała się z iednego końca rynku na drugi, wlepiając w przystań nieporuszone oko. Nieznaiomy szel prosto ku domowi, nad którego drzwiami wisiała

tarcza z trzema liliami mająca napis *pod herbem Francyi*. Ale tu dotarszy, znowu inaczej się rozmyślił: nie wszedł do domu ale siadł na kamienną ławecę podwórza, przypierając się do jednego z wielkich drzew figowych, które cień dawały. Tu, zadumany i smutny zdawał się nie widzieć że go otaczała i chciwem okiem mierzyła mnoga czereda ciekawych.

Nieznajomy wyglądał na 25. lat wieku, miał urodziwą postawę i tylko, przez odbijającą wpośród smagławych twarzy Prowansalów białosć swęj cery, wydawał się nieco bladym: z resztą trudy podróży a może i inne przyczyny mogły były wyryć na jego obliczu ślady wycieńczających wpływów. Na głowie miał wprowadzie, tak iak chciał obyczaj mięysca, duży kapelus z piórem: a co większa, płaszcz jego, który resztę ubrania okrywał,

był zrobiony na sposób francuski. Ale z cudzoziemska podgolone włosy postawiły go w sprzeczności z długimi bującami puklami, takimi iakie zapuszczano we Francyi za rządów Ludwika XIII: w braku zaś owęj ostrokończatęj bródki, której nazwanie dziś ieszcze przypomina Patryarchę Burbonów Henryka IV; przebiiało przez iego rysy piętno cudzoziemczyzny. Nadto konieć połyskliwę pochwy, który z pod iego płaszcza wyglądał, zdawał się raczēy krzywą szablę niż prostą szpadę zapowiadać.

Do zanurzonego w myślach, po kilku chwilach odosobnienia, zbliża się młoda dziewczyna, córka właścicielki gospody *pod herbem Francyi*, chcąc go zapytać czy czego nie potrzebuie. Ale gdy oczy *Klary*, tak się nazywała dziewczyna, zbiegły się z oczami nieznanego; zmieszana i strwożona cofnę-

la się, niepewna czy ma pierwsza przemówić. Wprawdzie, nieznaiomy wypogodził swoje weyrzenie i chciał powitać Klarę, iakby ją dawniey był znał. Ale w tem dalo się słyszeć wołanie z końca rynku: „Aha! aha! to przecie iuż przybiiaią do przylądka Bastydy: za kwadrans muszą tu stanąć!” i wszyscy pobiegli do przystani, i teraz sama dziewczyna została przy Nieznaiomym.

„Dobry wieczór Panno Klaro, dopiero rzekł on z uśmiechem: iak się miewasz?” „Więc się nie pomyliłam, skwapliwie odpowiedziała dziewczyna, że jesteś ten sam co to tu przed sześcią tygodniami byłeś zdrugim, o którym wieść biega że to był *Cesarz Rzymski*, a nawet iak powtarzaia *Bey Tunetański*, i że chciał spalić *Toulon i Marsylią*, i nawet tę tam naszą obmierzłą starą Kozłą wieżę.” „Niestety! odpo-

wiedział nieznaiomy, teraz nie on obmierzłą kozłą wieżę, lecz go kozła wieża dzierży. Nie iest on Cesarzem Rzymskim a tym mniéy Beiem Tunetańskim, iak o tem wiedzieć musisz, Klaro, kiedy przecie nie potrosze z tobą rozmawiał i nie ladą upodobanie w tobie znalazł.” „To coś w końcu powiedział, Miłościwy Panie, odezwała się Klara, mnie się tyczyć nie może, i dla tego nie chciałam zważać kiedy ludzie Pana *Chantereine*, którzy tu przebywaiają, o tem mówili: i nie zważam chociaż dotąd o tem mówią. W moich oczach nie wyglądał on na Turka: do tego mówił po francusku iak Francuz, a gdy u nas chleb łamał widziałam iak czynił znak krzyża świętego, czego przecie nie robią Turcy.” „To tedy *Chantereine*, zapytał nieznaiomy, ma wiele ludzi przy sobie?” „A! ma do dwustu iezdnych, odpowiedziała Klara, a ci którzy tu bawili, powiadali mi że i Król i Kar-

dynał, i nawet Hrabia *Valois*, srodze na tego iegomości są zagniewani.” „Ten który był ze mną, rzekł nieznaiomy, nigdy nie obraził Króla *Ludwika*, a z gniewu Kardynała i Gubernatora Prowancyi, żartuie sobie.” „Dla Boga, mój Panie, zastanów się co mówisz: Hrabia *Valois* iest wielki Pan, a podobno i z krwi Królewskiéy, chociaż... iuż mnie zapewne rozumiesz. Oprócz tego iest to Pan zawzięty: poznałam go będąc garderobianą przy Hrabinie *Valois*, do którégó właśnie wybieram się z powrotem kiedy iuż moia Matka Bogu dzięki ozdrowiała. A cóż dopiero Kardynał! Ach! musisz być bardzo z daleka, kiedy się ich nie boisz.” „Dosyć z daleka, odpowiedział nieznaiomy, a do tego z kraiu który nie wie co to się boić.” „Wszystko to brzmi pięknie, odpowiedziała dziewczyna podając nieznaiomemu kubek napoiu: ale iednak iezeli mam ci dobrze radzić, piy przed-

ko i umykay. Jesteś wprawdzie cudzoziemcem: nie chciałabym przecież twéy zguby, bo ty i tamten drugi musicie być niewinni, kiedy wam Pan *Chantereine* nie sprzyia. Mówiąc między nami, iestto człowiek nie naylepszy: ani ia ani moia Pani nie lubimy go, chociaż u Hrabiego *Valois* ma wielkie laski i iest Kapitanem iego gwardyi. Dla tego właśnie mój drogi Panie, nie możesz tu bezpiecznie przebywać.” „Jakże ci iestem wdzięczny za twoię życzliwość! rzekł nieznaiomy ściskając iéy rękę, ale cię proszę o cierpliwość: ieszczebym tu chciał zabawić bo muszę się widzieć z moim kochanym Panem (który tédy wkrótce przeieżdżać będzie,) choćby się też nie wiem co stać miało.” „Cicho! przerwała mu Klara: oto są ci dway o których dopiero spomnialam:” i pędem pobięła do domu.

Wtem wyszli z gospody dway mężczyźni, żarliwą rozmową zaięci: oba-

dwa jeszcze dość młodzi. Jeden z nich miał na sobie kawalerską kurtę z brunatnego sukna, na głowie kapelusz z piórem takiegoż koloru, a u boku ogromny pałasz. Drugi wyglądał na maitnego mieszczanina owych czasów, miał na sobie długą ciemnoszarą suknię, a na głowie iamulkę z czarnéy pilśni. Ale ich odzież nie odpowiadała wyrazowi ich fizyonomii. Na pociągłéy chudéy twarzy powierzchownego woiaaka zaległo niemylnie piętno oścherstwa i chytrości: kiedy mówił; machał rościerpierzonymi palcami, iuż to głascząc niemi podbródek i usta, iuż dmuchaiąc w nie obyczaiem mieszkańców południowéy Europy, którzy takowemi iestami tłomaczą uczucia tryumfu. Twarz znowu mieszczanina nosiła w szerokich i prostackich rysach wyraz surowości umysłu: ale mimo to, gdy przemówił; iego ułożenie zapowiadało człowieka który się mógł znajdować po lepszych

towarzystwach, i być po nich wzięty z wesołego i dalekiego od trosk humoru. „Jak ci powiadam, Panie *le Normand*, rzekł kawalerzysta, burza nie mogła powstać w pożądańszéy porze. Od chwili odbicia z Genui czekałem na sposobność i przy dobrotliwości tego Pana byłbym ią znalazł, gdyby *Saoli* któregom nakłonił aby mnie i kilku innych młodych ludzi zabrał i w pierwszym porcie na ląd wysadził, nie był tak skwapliwy. Wszakże niedługo czekałem. Jeszcze pod *Saint Turpin* zapędziła nas burza na brzegi morskie, a wtedy przyszło mi z łatwością namówić owego Pana aby, korzystaiąc z tak dogodnéy pory, zwiedził był wiekopomną *Marsylią*. Nie omieszkalem wówczas wyprawić nocą posłańca do Magistratu i przestrzedz Panów radnych aby uczynili coby się im zdawało. A my tymczasem poszliśmy na przedmieście, gdzie z wszelką skrzętnością, moich ro-

dziców którzy już dawno pomarli za żyjących, a kogoś, który nigdy nie był na świecie, za nieboszczyka udalem." „Cóż to ma znaczyć, Panie *Godefroi*," zapytał ze śmiechem mieszczanin? „To ma znaczyć, odpowiedział kawalerzysta, że powiedziałem tamtemu, iakoby kogoś w mieście w pojedynku zabił i że dla tego, bojąc się na świat pokazać, nocną tylko porą wychodzić i nacieszyć się mogę z nayukochańszymi rodzicami moimi których dawno nie widziałem, i znowu wracać na przedmieście gdzie go prosiłem aby na mnie czekał.* Tak się też stało, tylko że zamiast do rodzicielskiego domu, poszedłem do ratusza gdzie mnie dość długo zatrzymano zadając mi różne pytania: przecież o wschodzie słońca już byłem w drodze, a znaczny orszak ze mną. W tem, o świecie, lichu tamtego powiodło na kiermasz, *a iego sługę Elerta do sklepu. Tam Elert posłyszał,

co ludzie gadali że przybycie iego Pana iest już wiadome i że go chcą przytrzymać. Wybiega więc co tchu, ostrzega go, a obadwa dostawszy się do portu i w nim znalazłszy szalupę od okrętu który tylko co był zawinął, wsia-
dają do nię i po kilku chwilach odbi-
iają od brzegu.* Możesz sobie wystawić Panie *le Normand* iakem się wściekał kiedym; z mymi ludźmi stojąc na brzegu, patrzeć musiał na statek z pomyślnym wiatrem ku Hiszpanii płynący. Zgrzytając zębami zlorzeczyłem powolności przemądrych Panów radnych Magistratu, dopadłem konia i natychmiast ruszyłem do *Lambesk* do Hrabiego *Valois*. Tam dowiedziałem się że cisza dokonała tego co burza zaczęła, że galera musiała zawinąć do kanału *Beere*, że ptaszek został zwabiony do *Koźlég wieży* i że w nię siedzi przy starym kommandancie *Nargoni*. Dopiero kazał mi Pan *Chantereine* udać się w to

miejsce z Intendentem Prowancyi, a ia też pojechałem z Panem *Champinois* abym zeznał że ten złapany ptaszek iest w saméy rzeczy białym orlem: resztę wiesz.” „Już dobrze, już dobrze, Panie *Godefroi*! odezwał się *le Normand*: ia wszystko wiernie sprawię.” Oddalił się Kawalerzysta z mieszczańskiem ale ten ostatni, popatrzywszy badawczem okiem na przystań, znowu powrócił pod figowe drzewo do nieznaiomego.

„Dobry wieczór, rzekł do niego *Prowansal*, zmierzyszy go rozpoznawczem okiem. Zapewneś tu przyszedł abyś także zobaczył *Beia Tunetańskiego*, którego tędy mają przeprowadzać.” Nieznaiomy, iak się zdawało, chciał z razu żwawo odeprzeć taką zagadkę, ale wnet inaczej się rozmyślił, i rzekł. „Tak iest: będzie to osobliwe widowisko” W tem nadeszła zadyszana *Klara*

ra, niosąc chleb i owoce dla nieznaiomego: a kiedy ten po nie wyciągał rękę; ona nieznacznie i iakby od niechcenia mrugnęła na niego dając mu znak ostrzeżenia. Nieznaiomy uśmiechnął się do *Klary*, chcąc nieiako odpowiedzieć że rozmowa tych dwóch ichmościów, którą dopiero słyszał, już dostateczną była dla niego przestroga. Mieszczanin chciał go wyciągnąć na słówko: ale widząc że go krótko zbywa; ostygl w zapale i zaczął na zły chleb i na złe wino wygadywać. Roześmiała się na to *Klara*, córka gospodyni, i rzekła: „chleb i wino zawsze są dobre ale nie zawsze są takimi ludziami.” Uraził się z razu temi słowy *le Normand*, ale wpatrzywszy się w dziewczynę; postanowił się, zdiął iamulkę i z wielką grzecznością rzekł: „Ach! iakiemże osobliwszem zdarzeniem, droga *Panno Klaro*! mam zaszczyt widzieć cię w miasteczku *les Martigues*? Czyż sobie wię-

céy podobasz w tym starym gracie niż w pięknym palacu w *Lambesk* u Wielmożnéy Pani Hrabiny *Valois*!“ „Ja, krótko i skromnie odpowiedziała Klara, przybyłam tu aby doyrzeć moiéy choréy Matki, a w tem nic nie masz dziwnego. A ty Panie *le Normand* co też tu porabiasz w *les Martigues*!“ „Ja zostaie w służbie Królewskiéy,“ odparł *le Normand* z napuszczoną miną. „O! rzekła uśmiechając się dziewczyna, właśnie też król wie o tobie. Zaniechałbyś takich przechwałek mój przyjacielu: za daleko od was do Ludwika trzynastego, a królem który tu ciebie przysłał, nie kto inny iest tylko Pan *Chantereine*.“ Te ostatne słowa wymówiła Klara głośno i z nieciaką dosadnością rzucając okiem na nieznaionego. „Że też ty zawsze musisz stroić żarciki, kochana Panno Klaro, nieco gaposkim tonem odezwał się Francuz. Strzeż się przecież abym cię do *Aix* do Pana *Wa-*

*lenty*na nie zaskarżył.“ „Day mi pokóy z twoim Panem Walentynem, rzekła zniecierpliwiona i zarumieniona Klara i póydz raczéy ku przystani dowiedzieć się co tam za hałas i skąd powstał.“

Gdy się to dzieie, ozwał się wielogębny wrzask ludu. „Oto galera! oto przybywają! A gdzie też iest Bey? Czy widzicie Cesarza Rzymskiego?“ Na ówczas *le Normand* zrobił krok w tył, i spiesźnie pobiegł tam, gdzie największa wrzawa huczała: a Klara przystąpiwszy do nieznaionego, który głębiéy usuwał się między cienie drzew, rzekła: „Strzeż się go, bo to ieden z nanygodziwszych ludzi. Jeżeli tu chcesz pozostać; bądźże, powtarzam, bardzo ostrożny. Nie wiem czem się to dzieie, ale mi się wszystko zdaie, że cię ma spotkać iakieś nieszczęście, ciebie i, do dała z pomieszaniem, drugiego Pana. Od dwóch dni, iak niepomyślnie z zam-

ku pogłoski dochodzą, modłę się do Świętę Magdaleny *de Sainte Baulme*, aby was strzedz raczyła w kraiu, w którym cudzoziemcami iesteście.“ „Ach! prawda że tu cudzoziemcami iesteśmy, moia kochana Klaro, i bez obrony przeciw przemocy: i oto dla czego ia się sam przyczynie Świętych polecam, a ciebie proszę mieć mnie w swoiemy opiece przez iaki dzień lub dwa.“ „Nie żartuy tylko, Panie gościu, odpowiedziała dziewczyna; wszakże Klara Herbert iest młoda i bez znaczenia, lubo z resztą zdarza się że i słaba dłoń nie sie ratunek.“ „Broń mnie Boże, zaczął mówić nieznajomy, abym miał żartować z ciebie zacna panienko: wkrótce zobaczysz, że to szczerze powiadam.“ Ale mu przerwała Klara: „Ach! mój Panie co to tam ludzi, i oni tu ciągną!

Podwórze gospody pod trzema liliami zapelnilo się żołnierstwem, które

otaczało garstkę po cudzoziemsku ubranych ludzi: z tych iedni mieli na sobie długie w kraiu owym nieużywane ferezyie, poniekąd z drogiemy materyi, a pod temi iedwabne żupany których obcisłe rękawy z pod buchanych rozerzniętych kontuszów wyglądały. Czapki osobliwego kształtu z zatkniętemi czaplemi kitkami, okrywały ich podgolone włosy: szerokie pasy złotem i srebrem tkane, sztucznemi kwiatkami albo wyobrażeniami zwierząt zahaftowane, otaczały ich biodra, a z tych spuszczały się bandolety, lecz tym bandoletom nie dostawało broni. Niektórzy też z nich byli w Niemieckim doktorskim stroiu, z krótkim szerokim płasczykiem, z marszczonymi kołnierzykami i mankietkami, w buchastym kapeluszu: inni znowu w ubiorze duchownym. Z ciekawością poglądała Klara, kryjąc się za nieznajomego, na ludzi którzy otoczeni strażą podeszli

pod drzewa figowe. „Czy znasz ich?“ szepnęła Klara do nieznanego, który głębiej jeszcze cofał się w cień i oboją dłonią twarz sobie zasłaniał. „Tak jest znam ich, odpowiedział nieznanomy, boć to są (miałebym tać przed tobą) rodacy moi i towarzysze przygód moich.“ Na te słowa, Klara, głęboko westchnąwszy, spuściła oczy ku ziemi.

Tymczasem straż zatamowała wstęp od rynku a cisnący się tłum ciekawego pospólstwa wyparła halabardami. Wtedy ieden z ieńców, człowiek już poważny wiekiem, który miał na sobie bogatą hiszpańską ciemnobłękitną iupkę a na nięj krótki czerwony płaszcz ze srebrnemi galonami, postrzegł z nie-nacka nieznanego który z Klarą stał pod szpalerem, przypatrzył mu się z uwagą, a potém mową cudzoziemską powiedział kilka wyrazów na które tamten odmruknął. W tém runęły tra-

by z drugiey strony rynku, długi poczet iezdzców mając na swem czelu przybranego w rycerski rynsztunek dowódcę którego głos rokazujący odznaczał się chrapliwym akcentem, nadciągnął z uboczney ulicy. Po za tym poczetem, ukazało się ośmiu lub dzieściu ludzi, w takich samych iak pierwszy, cudzoziemskich ubiorach, i ieden z nich iechał konno, a inni szli przy nim. Za nimi znowu postępował hufiec iezdzców, z przeszło stu ludzi złożony, ale ten co iechał konno był pomiędzy ieńcami. Był to młodzian wysoki i wysmukły urody, ale cery bladey iakby po chorobie: iego iednak pełne ognia oko miotalo strzeliste błyski oburzenia i wżgardy, z rycerską miną dotrzymywał on wierzchu, a iego dzielny rumak stawiał dęba, ile razy niecierpliwy iezdziec dał mu bodźca ostrogą. Aksamitna amarantowa czapka, wysoką buiającą kitą stroyna, i

sznurkiem killkonitnemi połyskliwemi diamentami sutym podpasana, okrywała iego głowę. Podobnéy roboty łańcuch, na którym złote runo wisiało, błyszczał na iego błękitno - aksamitnym kontuszu, którego szerokie w tył spuszczone rękawy ukazywały żupan z białéy materyi, złotemi kwiatkami zahafowany. Szeroki pas z perskiéy materyi dźwigał krzywą szablę, a téy rękoieść była wysadzona rubinami. Krótkie czerwone bóty z małemi ostrogami okrywały iego nogi.

Gdy oczy Klary z nienacka padły na tego młodzieńca; zatrwożyła się cała i drżącym głosem wykrzyknęła: „Ach to on, to on sam, o mój Boże!“ Nieznaiomy nasz, stojąc obok Klary, milczał wprawdzie, ale oburzenie wytryskało z iego kołuiących oczu i zdawało się przemawiać przez iego drgające usta. „Ach! powiedz, powiedz mi, rze-

kła do niego Klara, co to zacz ten nadzwyczajny młodzieniec?“ „Miałżebym się iak Piotr zaprzeć Pana swego, odpowiedział nieznaiomy po krótkim namysle: ten któremu się dziwisz iest Naymiłościwszy *Jan Kazimierz Waza* syn Zygmunta III Króla Polskiego i Szwedzkiego, a brat Władysława IV którego potężnemu berlu podlegają te ludy, co zaległy ziemię od bałtyckiego do czarnego morza. Ów w duchownych szatach z krzyżem dyamentowym na piersiach, mówił daléy nieznaiomy nie postrzegając tłumionego Klary westchnienia które nagle iéy pierś wydała, ani bledości iéy liców, iest Przewielebny *Alexander* Hrabia *Konopacki*, Opat Wąchocki, Królewski Posel na dworze Madryckim i Nominat Biskup Warmiński, teraz zaś przez przywiązanie do Nayiaśniejszéy dynastyi Wazów nieodstępny Królewicza Pana moiego, i w podróży i nawet, gdyby do tego przy-

szło, w więzieniu towarzyszył. Ów w oliwkowym kontuszu z szeroką kędzierzawą brodą, jest *Gotard Butler* Podkomorzy Krakowski i Marszałek dworu Królewiczowskiego. Ten co się teraz odwrócił i iedzcowi, którym nie kto inny jest tylko Pan *Chantereine*, odgraża, młodzieniec na którego obliczu zaległy społem gniew i pogarda, nazywa się *Ferdynand Gonzaga Myszkowski* Margrabia *Mirowski*. Inni są to panowie i młodzieńcy z pierwszych szlacheckich rodzin polskich, nareszcie pokojowcy i służebni mego miłościwego Pana, wyjąwszy Wielebnego Oyca i tych Ichmościów w niemieckim i włoskim doktorskim stroiu, z których ieden jest *Jerzy Leyer* Jezuita, drugi sekretarz *Basio*, tamci lekarz i chirurg przywiązani do Osoby Królewicza.“ „Dziękuję ci, rzekła Klara po małej pauzie przez którą gwałtowném hezućiem zdawała się być miotana,

dziękuję ci za zaufanie którem służebnicę swoją zaszczycić raczyłeś. Obys nie żałował tego, żeś..“

Głośny poswarek przerwał mowę Klary. Już poczet zbliżył się był ku gospodzie, kiedy Królewicz postrzegszy w tłumie starego po hiszpańsku ubranego człowieka, kiwnął na niego i zawołał: „Elercie!“ Powo'ny roszakom pańskim stary sługa pospieszył, ale Kapitan zabiegł mu z konia i zastąpił drogę. „Dokądże to tak prędko,” chrapliwym głosem wrzasnął na Elerta. „Królewicz Pan mój wola mnie,” odpowiedział spieszący, a Chantereine zamierzwszy się na Elerta złożył go kiiem po głowie i po plecach. Postrzegszy to Jan Kazimierz spał konia ostrogami, w rączym poskoku natarł na kapitana, i głosem który oburzenie tłumilo zapytał. „Skądże takie zuchwalstwo?“ „Oto stąd że bez mego

pozwolenia, z zimną krwią odpowiedział Chantereine, chciał się zbliżyć do Waszëy Królewiczowskiëy Mości." „Jamu to rozkazałem," odparł z dumą Królewicz. „Nie Wasza Miłościwość ale ia tu rozkazuję:" wrzasnął kapitan: „więc to nie iest straż honorowa, silniejszym głosem zawołał Królewicz, iakęście udawali i ia mam być ieńcem?" „Nie inaczëy, rzekł Chantereine. „Także to? zawołał Królewicz z mocą i godnością. Kiedy tak, to iuż nie nad sobą ubolewam, ale nad Francyją która przez taką niewiarę, zhańbiła się w obliczu świata i potemności."* Ten głos Jana Kazimierza stłumiły wrzaski pospólstwa, oburzonego w skutku rozsianëy pogłoski że Królewicz został schwytyany kiedy zamysłał napadź na port Tuloński.

Poczet zatrzymał się przed wielkim, starym i opuszczonym domem, do którego przypierała gospoda pod trzema

liliiami. *Chantereine* zapowiedział swemu ieńcowi, że to iest iego nocleg, a zbroyna straż znikła w chodnikach starëy budowli. Nieznaiomy, był to *Samuel Opacki Kasztelanie Sandomirski*, pozostał z Klarą pod figowemi drzewami. Po chwili milczenia, rzekła do niego *Klara Hebert*: „kiedyć tu chcesz pozostać, to musisz mi się poddać w niewolę. Krzywa szabla, którą nosisz, w tym kraiu iest zagraniczna: ona mogłaby bardzo łatwo zwrócić oczy nieiednego muszara. Day mi ią więc do schowania, a bądź pewny, że póki w domu Wdowy Hebert zostawać będziesz, włos ci z głowy nie spadnie." Samuel tedy oddał Klarze broń, i rzekł z uśmiechem: „areszt u ciebie moia droga i tamten Pan wolałby, niż więzienie w którym się iuż znajduie. Przyymiecie mnie do gospody, bo nie przëdzëy chciałbym wyiechać z *les Marti-*

gues, aż gdy wiedzieć będę co się stanie z Królewiczem Panem moim.

Teraz Samuel i Klara weszli do obszernéj izby w któręj Pani Hebert, jeszcze bezsilna po długiey chorobie, spoczywała w krześle. Tu w dużym kominie na żelaznym łańcuchu, wisiał nad ogniskiem kociołek w którym się gotowała zupa. Na grzeczne pozdrowienie gościa odpowiedziała przyjacielskim wyrazem gospodyni, Klara zaś niosąc ostrożnie szablę pod fartuchem, wyszła z pierwszéj izby, i znowu powróciła krzątać się około sporządzenia wieczerzy. Tymczasem między iéy Matką i Opackim wsczęła się następująca rozmowa. „Zagraniczny Pan, mówiła Pani Hebert, nie najlepszą będzie miał gospodę w tamtym starym gracie gdzie się gnieźdzą sowy, gdzie nie masz ani okien, ani drzwi całych, a wszystkie kominy oddawna niewycie-

rane dymią nieznosnie. Już nieraz chciałam go odnowić i tam moje gospodarstwo przenieść, bo tu za szupło i niewygodnie: ale jeszcze nie przyszło do tego. Nie potem też czasy, a opuszczona wdowa dość ma kłopotów aby się jeszcze w budowanie wdawała. Jeżeli Pan Bóg da moiéy Klarze dobrego męża, to on będzie mógł poratować ten stary grat i przyysć do tak pięknego domu, iak tamte nad morzem.” „To tedy ten wielki dom iest wasz?” zapytał Opacki. „Tak iest, to mój dom: odpowiedziała. Pan Chantereine powinien był przecie wstąpić do gospodyni, kiedy mu się podobało z taką gromadą tu stanąć, ale w tych oplakanych czasach, nikt cudzéj własności nie szanuje a gdy się komu co uroi, to tylko potrzebuie powiedzieć że Kardynał tak chce.”

Wtém weszło kilku z kommendy Chantereina. Ci powiedziawszy, czego

żadaia, przydali w końcu, że ieden z ieńców, a do tego duchowny nagle za-
słabl. Zbyła ich dobra gospodyni od-
powiedzią, że Klara wnet przyrządzi
czego żadaia. „Klaro! rzekła potem Pa-
ni Hebert do wchodzącéy córki, póki
tu iesteś, musisz się uwiać: idźże przy-
rządź odwaru z maieranku i macierzan-
ki na kataplasm, i naléy wimbryk hi-
pokrasu.” Wzięła się dziewczyna do
wykonania tych rozkazów, a gdy Sa-
muel Opacki w tym samym czasie sze-
pnął iéy coś do ucha; zastanowiła się,
uśmiechła i rzekła: „bardzo dobrze, bę-
dzie tak, spuść się tylko na mnie.”

Głęboka cisza panowała w domu,
w którym osadzono ieńców. Tu po pu-
stych, na pół w ziemię zapadłych cho-
dnikach, którym wielkie żelazne lam-
py skałego użyczały światła, odzywa-
ły się niekiedy stapania strażującego
żołnierstwa. Jedne ze drzwi, te któ-

rych skrzydła staroświecką sznicersezy-
zną ozdobne, ostrzegały o wchodzie do
głównego pokoju, były osadzone po-
dwóyną strażą. Stąd właśnie wyszel
Chantereine udaiąc się do bocznego ko-
rza. W tém dały się słyszeć na scho-
dach mnogie stapania: nadszel podofi-
cer od straży z latarnią w ręku, za nim
dziewczyna w miéyskim ubiorze i mło-
dzieniec, który obyczaiem posługaczów
gospody miał na sobie kurtkę i zielony
fartuch. Ten ostatny niósł kilka sztuk
bielizny i kociolek z którego kurzyła się
para, a dziewczyna imbryk maioliki.
Widząc nadchodzących stóyka, głosem
wolnym zawołał: *Qui vive!* Podofficer
zaś odpowiedział *France!* Potém wszy-
scy troie udali się przez podwórze do
pobocznych drzwi, a dziewczyna mło-
dzieńcowi zielonym fartuchem podpa-
sanemu oddała w ręce imbryk: mówiąc.
„Wchodźże maszli wchodzić *Błazein!* a
pospieszay, żeby matka nie laiała. O! bę-

dzie przez całą noc co robić około śniadania, kiedy Panowie chcą o wschodzie słońca wyruszyć." Podoficer odemknął drzwi, wpuścił niemi chłopca, i wrócił do gospody. Tu skrzętna dziewczyna zabawiła go kubkiem *Rivaltu* (Rivesaltes), kiedy Błażéy uiszczał się z poruczonéj sobie czynności.

Ow chory, do którego wysłano Błażeia, leżał na starem łożu, przeglądając przy świetle lampy iakieś papiery. Był to człowiek, lat około 50. maiący. Suknia kapłańska, tonsura i krzyż prałacki, te były znaki iego powołania. Szeroka puklasta broda odróżniała go od ówczesnych francuskich Prałatów. Postrzegszy on wchodzącego, przemówił do niego więzyku francuskim, skazał aby to co przyniósł złożył na stole, a ściągawszy rękę do leżącego przed nim woreczka wyjął z niego ieden czerwony złoty i podał go młodzieńcowi. Ale

ten zamiast za złoto, uchwycił za rękę Prałata i powitał go oyczystym ięzykiem. Zdziwiony Prałat spojrzał na niego i pytającym głosem zawołał: „Opacki?” „Tak iest, to ia, odpowiedział tamten. Jakże się cieszę żem iednak dostał się do Ciebie przewielebny Kapłanie.” „To więc nie iesteś ienćem iak Królewicz i my inni?” zapytał prałat. „Nie: odpowiedział Opacki. Wiesz że Królewicz, dowiedziawszy się w Marsylii o zdradzie *Godefroi*, szukał ratunku w spieszném ucieczce i że powrócił na okręt: ia nie byłem podówczas przy iego boku, ale musiałem w tyle pozostać, a ponieważ znam dobrze ięzyk kraiowy; więc postanowiłem iść za nim trop w tropy po nad brzegiem morza, i w iednym z portów naiąć statek do *Aiguesmortes* skąd spodziewałem się popłynąć za Królewiczem do Barcelony. W tem gruchnęła po kraiu pogłoska że Królewicz Pol-

ski wpadł z kozakami do Francyi w zamiarze złupienia iéy a potem zdobycia portu którego nie umiano nazwać. Jeszcze dziwniejsze baśnie biegały pomiędzy ludem. Królewicza polskiego, to Cesarzem Rzymskim, to Tunetańskim Beiem robiono. W *Jonquieres* dowiedziałem się, że Genueska galera zawinęła do odnogi *Beere* i że komendant *Wieży Koźlęj* nie chciał pozwolić aby okręt podniósł kotwicę. Wiedziałem ia dobrze kto się znajdował na galerze, i dla tego pełen troski chcąc się z wami złączyć, stanąłem w godzinie popołudniowey w miasteczku *les Martigues*. Tam się udałem do zaizdnego domu szukając marynarza, któryby mnie przewiózł do waszey galeri, i tam w izbie gościnnéj zastałem dwóch mężczyzn w ubiorze naszym oczystym z których iednego wnet poznałem. Byłto *Ferdynand Gonzaga*. Ten ze zwykłą sobie prędkością w głos mnie

przywitał, i zaraz uśmiechając się i mrugając, skazał na drugiego, który tyłem do nas obrócony, pilną i ożywioną wiódł rozmowę z córką gospodyni, piękną i grzeczną dziewczyną. Gdy się potem ten ostatny do nas obrócił; poznałem w nim *Jana Kazimierza* Wazę, pozdrowilem go uprzymie, ale bez głębokiego uszanowania, przez ostrożność żeby go nie poznano. Zapytał mnie tedy Królewicz, skąd przybywam, a gdym mu powiedział, że u-
szel z Marsylii i że chcę udać się na pokład galery i przy nim dalszą moję służbę sprawować; odpowiedział mi na-przód, abym o tém myśleć zaniechał, a potem przydał że mu się nie zdaie aby iego osobie radzi byli we Francyi, że chociaż nie przypuszcza aby Arcy-Chrześcijański Król miał na nim pogwałcić Prawo narodów; wszelako mógłby to uczynić Komendant Ko-
źlęj Wieży, stary i uparty dziwak *Nar-*

goni, i że przeto w zbiegu tak niepewnych okoliczności, byłoby przydatniéy dla Królewicza mieć wiernego sługę w pobliżności, na którego mógłby się spuścić, i który, ieżeli by rzeczy nienaylepszy wzięły obrót, mógłby z pewnéy odległości, będąc wolnym pożyteczniéy mu usłużyć, niż pełniąc przy jego osobie obowiązki pokoiowca, zwłaszcza że mu na dostatecznéy liczbie dworzan nie zbywa. Ożywioną przy skleńnicy i poufałą rozmowę prowadziliśmy przez kilka godzin. *Jan Kazimierz* przybrał wesóły humor, a z młodą *Klarą Hebert* tak wiele i z takim wylaniem mówił, iak tego z naypierwszemi nawet damami nie czynił, chyba może z iedną Panią *Kazanowską* Marszałkową Wielką Koronną. Wprawdzie nie teraz czas rozwodzić się nad rzeczami tego rodzaju, muszę ci iednak prze-wielebny Kapłanie namienić, że w takowem wywnętrzeniu naszego Króle-

wicza, nie lada iako podobać sobie musiała młoda Prowansalka. Wszakże od owego czasu nie o kim innym tylko o nim mówi, i za iéy to sprawą dostałem się do Ciebie. Wkrótce potem Królewicz wrócił na pokład galery, a ia przez ów czas przechodziłem się po nad morzem. Ale wieści coraz gorsze biegaly, a to na co dziś patrzeć musiałem aż nadto ie potwierdziło.”

„Niestety! tak iest wistocie, rzekł Opat Konopacki. Kardynał i Hrabia *Valois* bardzo zawiedli opinią, iaką Jego Królewiczowska Mość i my mieliśmy o szlachetności, charakterze i wierze Francuzów, z których oni przed kilku ieszcze laty, za wiekopomnéy pamięci Henryka IV. tak zaszczytnie po całej Europie slynęli, dziś zaś za teraźniéyszych rządów syna iego, a bardziéy dumnego Biskupa z *Luçon*, do szcztu się wyzuli. Zaledwie Królewicz z *les Mar-*

tigues powrócił był na galerę, aż tu przybiega posłaniec od *Nargoniego* komendanta twierdzy, z wezwaniem, aby *Saoli* Kapitan Genueńskiéy galery zechciał się pofatygować na zamek, gdzie komendant pragnie z nim pomówić iużto w okoliczności korsarzy afrykańskich których na śródziemnem morzu postrzeżono, iuż w innéy ściągającéy się do Nayiaśniejszéy Rzeczypospolitéy. Po tém co zaszło w Marsylii, nie mogło się takie posłannictwo podobać *Mikołaiowi Saoli*: kazał więc ten Kapitan oświadczyć Nargoniemu, że iakkolwiek dobrze przyymuie takowe wezwanie, musi iednak upraszać, aby to co dla jego wiedzy komendant przeznacza, raczył mu na piśmie udzielić, gdyż urząd kapitana nie dozwala mu oddalić się z okrétu, tym bardziéy że mnie, którego, iako nadzwyczajnego posła Króla Polskiego do jego katolickiéy Królewskiéy Mości

przewozi, odstąpić nie może. Nie długo potém przypadł po drugi raz officer od *Nargoniego*, ale iego komplementa iuż inaczéy brzmiały. Powiedział on że *Komendant jest obrażony odmówką kapitana że tu idzie nie tylko o interesa rzeczypospolitéy ale i o dobro Monarchy francuskiego, że przeto Pan *Saoli* nie powinien się ociagać, ieżeli względem obojga rządów nie chce ściągnąć na siebie odpowiedzialności. Z resztą, dodał, działa zamkowe są wymierzone na galerę. Niech więc kapitan zważy co ma czynić.* Po takim posłannictwie wszel kapitan do pokoju Królewicza, aby mu o tych pogrózkach zdał sprawę i iego rozkazy odebrał. Wtedy zaczęliśmy się naradzać. Genuńczykowie nie sobie dobrego po tak nieprzyjacielskich zaprosinach nie wróżyli, i sądzili że naypewniéjszy krok iaki w tym razie uczynić wypada, iest ten, aby niezwłocznie, odciąć kotwicę,

i z narażeniem się na kilka kul zamkowych puścić się na morze. Ja dzieliłem to zdanie, tak iak wtenczas, kiedy w Marsylii odradzałem Królewiczowi, aby nie dowierzał chytremu *Godfroii*. Ale większa połowa, i nawet sam Jan Kazimierz, przez wrodzoną sobie a zbytęcznie zawierzającą spaniałomyślność, byli za tém aby Saoli żądaniu Nargoniego zadość uczynił. Czy być może, mówili ci którzy z Królewiczem trzymali, aby lud francuski, duchem rycerskim i wiarą znakomity, gwałcił prawa narodów na osobie bliskiego krewnego Anny Rakuskiéy, swoiéy Królowy, na osobie Królewicza Polskiego? Wszak niesnaski iakie zachodziły, iuż są zagodzone przez pokóy Gdański między Polską i Szwecyją zawarty za pośrednictwem posła francuskiego *Klaudiusza de Mesmes* Hrabiego *d'Araux*, w skutku czego dawna przyjaźń iest odnowiona. Oprócz tego,

nie można ani nayiaśnićszéy rzeczypospolitéy Genueskiéy ani kapitanowi iéy okrętu, wziąć za uchybienie, że pod iéy neutralną banderą nadzwyczajny Posel Korony Polskiéy do Barcelony płynie: a ponieważ niniéysze obeyście się należy przypisać dziwactwu starego mantyki Nargoniego; więc kilka słów będą dostateczne do zapobieżenia dalszym nieporozumieniom. W skutku takowych uwag udał się Saoli na zamek, ale za ledwie stanął tam nogą, iuż był przytrzymany. Tak to szkaradnie owo nasze zaufanie w wierze i charakterze Francuzów zawiedzione zostało!

Całą noc przepędziliśmy niespokojni i oburzeni. Nazaiutrz, było to 10. Maia, powołał mnie Królewicz do siebie i roszkazał mi póysć na zamek, gdzie miałem żądać wytłomaczenia się z tak nieprzyjacielskiego postępku. Mój kapłański charakter, tak się zdawało Kró-

lewiczowi, i nietykalność moiej osoby iako Posła Jego Nayiaśnieyszego brata i Króla, miały mnie zasłonić od wszelkiéy obrazy. Uczynilem też według woli Królewicza, kiedy już minęła sposobność zapobieżenia gwałtom i przemoccy. Gdym przybył na zamek, komendant przyiał mnie wprawdzie grzecznie ale oraz postrzegłem że i ja, równie iak był Saoli, iestem poymany. Pan Nargoni zaprowadził mnie wgląb swoich pokoiów, a gdym się protestował przeciw niegodziwości, iakiéy się dopuścił względem bandery przyjacielskiego państwa i względem godności posła którą piastowałem; on mi odpowiedział, że nie z innéy przyczyny, iak tylko *zwyróżnego rozkazu Ludwika Hrabi *Valois* Gubernatora Prowancyi pochodzi przytrzymanie naszego okrętu i że on dowiedziawszy się o bytności Królewicza Polskiego na tym okręcie, uwłóczyłby tyle znanéy grzeczności i gościnn-

ności francuskiéy, gdyby takiego Książęcia puścił od brzegów Arcy - Chrześcijańskiego Króla, nie okazawszy mu uszanowania, które się należy iego osobie. A ponieważ gubernator prowancyi jutro przybędzie, tak dalcý tłómaczył się Nargoni; więc niech Jego Królewiczowska Mość raczy się udać na zamek gdzie znajdzie lepsze niż na okręcie wygody.* Skończywszy taką mowę, wnet wydał rozkazy aby sześć zbroynych statków wyruszyły i zaięły stanowiska około naszego okrętu. Uznasz teraz mój Kasztelanicu że nie potrzebowałem pytać doświadczenia, którego przez tyle lat po różnych dworach nabyłem, coby za cel miała dworszczyzna Hrabi *Valois*. Ale tu zaszła konieczność puszczenia się na los, którego przedwstępnych igraszek nie umieliśmy odwrócić. Ja tedy posłałem list otwarty Jego Królewiczowskiéy Mości radząc mu aby raczéy zdał się na grze-

czność gubernatora, niż żeby się na pewną zgubę miał narażać. Nim moje pismo wzięło swój skutek, ja tymczasem byłem rozdzierany dręczącą niepokojnością. Uyrzałem z zamkowego krużganku mnogą załogą osadzone, w niewielkiej odległości naszą galery okrążające statki. Wycelowano na ię pokład Kartany twierdzy, a przy tych stali puszkarze z zapalonemi lontami. Stary Nargoni biegł tu i owdzie dając się i rzucając. Jedno podeyrzane poruszenie okrętu, mogło się stać powodem kommandantowi do zniszczenia w okamgnieniu nadziei dynastji Wazów, i tylu szczepów tylu szlacheckich familij. W tem dostrzegłem przystawioną do galery łódkę i widziałem że ktoś do niej wsiadał, bez wątpienia dla zaspokoienia Nargoniego, i rozradowało się serce moje, że naywiększe zle już miało być odwrócone.

Jakoż nie zadługo przybył na zamek Jan Kazimierz z Ferdynandem Myszkowskim, Gotardem Butlerem i Teodorem Denhofen... Wybiegaiącego przeciw sobie Nargoniego przywitawszy z oziębłą powagą; zbliżył się do mnie Królewicz, ścisnął mnie za rękę i rzekł zuśmiechem: „*Quo fata trahunt retrahuntque sequamur*“ (idźmy dokąd nas losy powołują). Kommandant, stary wojak iął dopiero w fałszywych kolorach wystawiać swój szkaradny postępек. Ale Królewicz, raz odwróciwszy się od Nargoniego, nie zmienił swojej postawy, nie mu nie odpowiedział, i, stanąwszy w oknie, ściął oczyma grożące burzą chmury, które poruszał zrywający się na morzu wicher. Po niejakim czasie rzekł urażony Nargoni: „Bardzo się dziwię że Jego Królewiczowska Mość mógł się odważyć bez paszportów i bez pozwolenia Arcy Chrześciańskiego Króla puszczać się do

Francyi w czasie w którym pożar wojny z taką wściekłością po Europie srożeje.” * „Jeżeli to dziwi Cię Panie komendancie, odpowiedział Królewicz, tedy daleko więcej dziwić mnie powinno to, że brat Króla Polskiego w przymierzu z Ludwikiem XIII. żyjącego, nie mógł bezpiecznie i z zaufaniem szukać w waszych portach schronienia przed burzą. Zakazuję ci z resztą wyieżdżać w mojej przytomności z twoim zadziwieniem.” „Nie będę więc dłużej dla Waszcy Królewiczowskiy Mości natrętnym, odpowiedział Nargoni łącząc niski ukłon ze złośliwym uśmiechem. Gubernator Prowancyi przybędzie tu niezadługo, a tym czasem Wasza Królewiczowska Mość raczysz w tym zamku pozostać zwłaszcza że burza, na którą się zanosi, utrudziłaby Jego powrót na galere, nawet gdyby Mu ten był dozwolony: że zaś nie jest dozwolony; o tem mam zaszczyt uprze-

dzić Waszą Królewiczowską Mość.” * To rzekszy Komendant wyszedł z pokoju.

„I może być, przerwał Opacki Pralatowi, aby Francya tak haniebnie gwałciła święte Prawo Narodów którego panowanie ięcy własni statysci zaprowadzili i innym narodom obiawali? Słyszałem w prawdzie o prawie morskiem dzikich brzegów Norwegii, ale komużby przez głowę przeszło że i na brzegach rycerskię Francyi panują obczytaie Barbarzyńców? Być nie może, aby syn Wielkiego Henryka tyle się wyrodził, żeby się miał pastwić nad spowinowaconym sobie rodem Królewskim. Być nie może aby on wiedział, co się tu dzieie przez niewczesną w służbie gorliwość brutala woiaaka i przez drażliwą skrupulatność Hrabiego *Valois*. Skoro wiedza tego wszystkiego dojdzie do *S. Germain*; on powstanie w szla-

chetnym gniewie i ukarze zuchwałych, którzy się targli na Maiestat wszystkich Królow, a tém samém i na Jego, że już nie powiem na święty charakter Posła, który w twoiéy osobie Nayprzewielebniejszy Pralacie znieważyli.” „Lubię ia, rzekł Alexander Konopacki uśmiechając się uprzejmie, ów entuzjizm młodzieży przez który mnie ma że to o czém myśli stać się musi, dla tego że iest słuszne. Ale się dłużej nie rozwódźmy. Godzina naszego zespolenia wnet upłynie, a nie tak prędko nadarzy się inna. Zrządzenie losu, że nie iestes iak my poymany i zamknięty, obiecuie nam wiele dobrego. Wszakże po twoiéy wierności i rostopności tuszę sobie, że tego zrządzenia na korzyść Królewskiéy rodziny Wazów będziesz umiał użyć. Posłuchay co ci powiem. Położenie naszego Królewicza iest niebezpieczniejsze niż się spodziewasz. Ludwik XIII. nie iest

podobny do swego wielkiego dawcy życia i tronu: leniwie krąży krew w jego żyłach. Żadne wznioslejsze uczucie nie postanie wiego małym sercu. Głucha odrętwiałość, ale nie nayszybsza zenot Królow, ziednała mu przydomek sprawiedliwego. Wyrodny syn dla własnég matki, przykry a nawet okrutny małżonek dla Anny Rakuskiéy, zawzięty nieprzyjaciel brata swego, nie iak Król wydał ich wszystkich na zemstę Kardynała Richelieu którego lęka się razem i nienawidzi. Na rusztowaniach francuskich sący się ieszcze krew nayszybszych osób. Napróžno świetne rycerskie cnoty, napróžno głos całej Europy przemawiały za Księciem *Montmorency*, a osobista przyiaźń boiaźliwego Ludwika za *Karolem Talleyrand* Księciem *Chalais*. Jeszcze wielu innych zapelnia ciemnice *Bastylii* i zamku *Vincennes*, ieszcze daleko dzień oswobodzenia dla Marszałka *Bassompierre*.

erre, dla Komtura *Jars*, dla Margrabiego *de la Ville*, dla *Vautier*, i dla wszystkich przyjaciół wygnanęj *Maryi de Medicis* i znieważonęj *Anny* Rakuskięj. Czyż się możesz spodziewać, aby ten który całą swą rodzinę poświęcił nienawiści swojego ministra, który z iego poduszczenia towarzyszków swoięj młodości wtrącił do Bastylii, czyż mówię możesz się spodziewać, aby on ochraniał cudzoziemca, którego oyczyznę, góry, lasy i rzeki oddzielaia od Francyi, skoro śledziennictwo pierwszego ministra zapragnie zemsty, a udany interes państwa, gwałt nayniegodziwszy uprawni? aby ten, który święte prawa matki, małżonki i przyjaciela naruszył, nie wytłómaczył według swego widzimisie brzmienia prawa narodów? Nie wątpiy Panie Opacki że ta nienawiść iuż tleie w sercu Kardynała, i że mienany interes państwa iuż iest napięty. Nigdy kardynał, którego dążeniem we

dnie a marzeniem w nocy iest upadek domu Rakuskiego, który plemienników tego domu ściga na osobie własnéj swoięj Monarchyni, nigdy mówię nie przebaczy Królewiczowi że on pod przewództwem *Macieia Gallasa z Lutersheimskim* hufcem walczył przeciw Francyi, że on w czasie zawierania pokoju Gdańskiego, udawał się do Wiednia do swego Wuią, że on wreszcie iest synem i szwagrem dwóch Arcyksiężniczek. Jescze w Gdańsku *Klaudiusz de Mesmes* Hrabia *d'Arax*, wyrzekł do mnie owe pamiętne słowa które się iuż ziściły. Głoszą tu że Królewicz odnowił tajną Wiedeńską z Cesarem umowę, że iedzie do Hiszpanii aby obiał godność Vice Króla Portugalii i Admirała flotty, że zebrał pięć tysięcy Zaporozców, że ich oddał w służbę Katolickiego Króla, że się rospatrzył w portach francuskich, i że go schwytano nie iako podróżującego Książęcia ale

iako przebranego szpiega. Takieto brednie rozgłaszał *Marescotti* sekretarz Hrabiego *Valois*, takie *Chantereine*, którego nikczemna duma karmi się zniewagą Królewiczowskiéy osoby. Osądź teraz Panie Samuelu, ile wierność tak zacnego iak ty człowieka stać się może użyteczną Królewiczowi w takowém iego położeniu. Tu oręż rozstrzygać nie może. Nimby woyska Polskie przeszły pół Europy i wkroczyły do Francyi; iużby spadł na głowę Jana Kazimierza cios; którego by nie powetowały mnogie bitwy i długoletny krwi Chrześcijańskiéy rozlew. Pośrednictwo Szwecyi i Rzeczypospolitych Włoskich potrafią uratować Królewicza Polskiego. Co do mnie, ia zostaię po lścisłą strażą, i przeto ani czynem, ani radą działać nie mogę. Czy to, że nie maia ochoty uiścić się z obligu, który wiozę ze sobą a którego rękoymią przed 50. laty dana, jest podpis *Henryka Wiel-*

kiego, *Chatillona* niegdyś Admirala francuskiego i *Joanny Albret* Królowy Nawarry, czy że Kardynał skutkiem samoznawstwa upatruie pod każdą miatrą pasmo sidel i podstępów do których sam się poczuwa i które swoim czerwonym kapeluszem pokrywa; dość że na moię obecność w *Saint Germain en Laye*, bardzo niechętném okiem pogładano. Jeżeli tedy gotów iesteś wziąć na siebie i wiernie popierać orędownictwo, które może nie raz wypadnie włożyć na ciebie, więc ty i z tobą my wszyscy słusznie powinniśmy błogosławić ten traf opatrny przez który z Jego Królewiczowską Mością rozmiąnałeś się w Marsylii."

Tu naprzód w słowach pełnych ognia ślubował Kasztelanic, że ani majątku ani krwi szczędzić nie będzie aby wtak pilnéy potrzebie służył Panu swojemu, potem zapytał Opata czyby nie wie-

dział co dalej myślą zrobić z Królewiczem. Prałat tak dalej mówił. „Jutro skoro zaświta, poprowadzi nas Królewska tartana do *Saint Chamans*: stamtąd mamy się udać do miasta *Salon* do domu Arcybiskupa *d'Arles*, tu zaś zabawić aż do powrotu posłańca, którego Hrabia *Valois* do *Saint Germain* wyprawi. Ty tedy Panie Samuelu, idąc za nami trój w tropy, zostawaj w niewielkiej od nas odległości. Złoto i srebro bardzo w tym kraju popłacaia, nie trudno mi więc przyydzie przesłać ci na sam czas wiadomość.” Tak rozmawiali ze sobą Kasztelanie Sandomirski i Opat Wąchocki, przestrzegając cichości i kiedy pierwszy niewprawną ręką niósł drugiemu pomoc iakięć zwykle wymagają chorzy. Wszakże Opackiemu szło o to aby go w razie nagłego nadejścia, zastano przy téj czynności pod pozorem której był tu wpuszczony. W tém wykręcił się klucz w zar-

dzewiałym zamku, uchyliły się drzwi i uyrzano ciemnowłosą głowę Klary. Mrugnawszy na obudwóch przezorna dziewczyna, tonem opryskliwym rzekła: „i gdzież tak długo balamucisz ty niezgrabny drylbasie? dalipan, gdyby trzeba było śmierć sprowadzić; Błażey Auverniak byłby iedyny na takie poselki. Póydźże prędzey, bo matka rady sobie dać nie może.” Kiedy Klara kończyła te słowa, ukazał się nad iey głową rogaty duży kapelusz, i wnet wszedł do izby kapitan *Chantereine* i groźnym tonem zawołał. „Co to za chłopiec? co on tu robi? precz, precz z nim: obróciwszy się zaś do Prałata dodał: to więc Wasza Przewielebność nadużywa moięć délikatności i grzeczności, wdając się w brew zakazowi Hrabiego *Valois* w rozmowę z motlochom, a to pod pozorem choroby o której, Pan Bóg wienaylepięć, có myśleć!” „Panie *Chantereine*, odparł Hrabia z pogardą: prób-

ki twoiëy delikatności i grzeczności, naylepiëy się wydaia w stanie nadwątłego zdrowia moiego. Ależ przecie ieżeli charakter, ieżeli wiek mój na żaden u ciebie wzgląd nie zasługuią, powinienbyś przynajmniëy wstrzymać się od nieprzyzwoitych wrzasków o krok od miëysca w którem Królewicz snem się pokrzepia. Wszakże Jego Królewiczowska Mość, przebudziwszy się na tak brutalski hałas, mógłby rozumieć że nie na brzegi piękny Francyi, ale na brzegi dzikich Karaibów wylądował." Po tych wyrazach Konopackiego możeby Chanteraine na bezbronny młóć wywarł swoje zuchwalstwo, gdyby go Klara nie była zagadła temi słowy. „A to pięknie! a to mi się podobało! To więc nas motloch nazywasz Panie Kapitanie? Otwórzno oczy i przypatrz się nam lepiëy. Zapytam się ia Hrabiny Valois, Pani moiëy, czy ci wolno, Mospanie Kapitanie, iëy garderobia-

na do motlochu policzać, mnie i mego koligata uczciwego Auwerniaka *Błażeia Maguiret z Clermontu*, który tu przybył, aby mi do *Lambesk* w powrocie do moiego państwa towarzyszył: będë ia tam umiała oddać świadectwo twoiëy grzeczności." Chanteraine na pół z obawą, na pół ze śmiechem iał koić rozdąsaną faworytę Pani *Valois*, Klara zaś nie zważaiąc na niego, rokazuiącym głosem zawołała na młodego koligata. „Błażeiu! wiawszy nogi za pas; pokwap się: urąb dREW i rospal ogień bo za trzy godziny musi być gotowe śniadanie dla Beia Tunetańskiego. Jutro ieszcze więcëy będzie krzątany iak nam przyydzie wybierać się do *Saint Chamans*. Nuże tedy uwiń się mazgaiu, bo tu nieczas ielków patrzeć." Już Opacki wrócił do gościnnëy izby, a przebiegła Klara ieszcze wygadywała na *Chanteraina*, póki nie spuścił z tonu

i swoim odwrotem nie oszczędził uśmie-
chającemu się Opatowi przykrości ia-
ką mógł był mu wyrządzić.

II.

SAMUEL OPACKI I KLARA HEBERT W PRZE-
PRAWIE MORSKIÉY Z LES MARTIGUES
DO LAMBESK.

Nazajutrz ze wschodem iutrzeńki,
wystąpił przed gospodą zbrojny po-
czet a Królewicz i jego towarzysze wsie-
dli do tartany i przez zatokę *Beere* od-
płynęli do miasta *Saint Chamans*. Kla-
ra Hebert wyszedszy na brzeg morski,
okiem żalosnem ściagała oddalający się
statek, a gdy powróciła do matki, wy-
raz smutku rozlał się po iéy twarzy
i nie schodził nawet wśród zatrudnień.
Izba gościnna aż do południa była pe-
lna ludzi, którzy przez ciekawość na-
biegli z okolic do miasta *les Martigu-
es*, i Pani Hebert naprzykrzali się py-
taniami to o Deia Tunetańskiego, to

o dziwnie ubranych ludzi, którzy w iéy domu noc przepędzili. Samuel Opacki który ieszcze nie zrzucił ubioru Błażeia Maguiret, zachował się spokojnie, był zdala od zgraj, i ciągle się krzątał wyręczając iużto swoje przybraną młodą koligatkę, iużto iéy Matkę, i tak sprawiedliwie nosząc zielony fartuch. Dopiero około południa zeszedłszy się na podwórzu z młodą Prowansalką w tych słowach do niéy przemówił. „Ponieważ tedy moja Klarko zostałem twoim koligatem, i po to do *les Martigues* przybyłem abym cię do *Lambesk* odprowadził, to niechże iuż tak będzie i niechże ci towarzyszę, jeżeli tylko zechcesz mojemu przewodowi zawieźć.” „I owszem, zgoda na to: odpowiedziała dziewczyna cicho ale z żywością: bądź mi towarzyszem podróży. Przybrane nazwisko Błażeia Maguiret będzie ci w tym kraju poręczniwsze niż twoje rodowe, choćby

też nie wiem iak świetne. Ale tu nie długo z sobą gadamy bo ieszcze się niebó niezupełnie wypogodziło. Dziś wieczorem po zachodzie słońca Klara Hebert popłynie z Błażeiem Maguiret do *Saint Chamans*, a stamtąd uda się do *Lambesk* do swoiéy Wielmożnéy Pani. Matka moja iuż wie o wszystkiém.”

Upłynął dzień. Pani Hebert nie tała przed Opackim że wie o Jego zмовie z Klarą, i kilka razy wynurzyła przed nim że tyle w obojgu pokłada zaufania że zezwala aby on towarzyszył iéy córce w podróży. Zbliżył się też wieczór i rozeszła się gromada ciekawych. Naówczas Klara wybrawszy się w drogę, rzekła: „Nasza łódka iuż gotowa do podróży i czeka na nas: nie traćmy więc czasu: żegnam Cię Kochana Matko.” „To niechże Cię Bóg prowadzi, moje ty skwapliwe dziewczę, odpowiedziała Matka. Kiedy Niebo nastrecza ci spo-

sobność stania się użyteczną tak dobremu i wielkiemu Panu, za łaską Wielmożnéj Pani Hrabiny *Valois*; to ja cię nie chcę zatrzymywać. Ale chodząc około dzieła twoiego nie zapominay o sobie saméj i o twoiéj, tylko co wyzdrowiałéj, matce: i chciéj baczyć abyś rzeczy pewnych nie puszczała dla niepewnych, ani czyniła coby Pana *Walenty* Adwokata Parlamentu urażać mogło.” „Dobrze, Kochana Matko: z posępną miną odpowiedziała dziewczyna: ja o tém pamiętam.” „A ty, mówiła daléj Pani Hebert obracając się do Opackiego, miłościwy Panie który musisz być nie lada osobą, kiedy w takich łaskach zostaiesz u brata Króla twoiego, zachoway się iak na twój wysoki stan przystoi, uczciwie i spaniale względem méj córki, która się tyle Tobie i Panu twojemu poświęca, i strzeż iéj iak siostry i przyjaciółki twoiéj: czy słyszysz Miłościwy Panie? iak ro-

dzonéj siostry, iak przyjaciółki twoiéj.”

Samuel i Klara, czule pożegnawszy Panią Hebert, poszli do przystani i tam wsiedli do krypty która na nich czekała. A kiedy od brzegu po ciemnych bałwanach na głębię morza odbili; już pojedyncze gwiazdy zaczynały błyszczeć na zachodzie: łagodny wiatr południowy marszczył fale zatoki, kołysał wierzchołki pomarańczowych i oliwnych drzew, okrywających równinę pobraża, i na swych skrzydłach unosił ich wonie po nad wód przestrzeni. Już miasteczko *Martigues* ze swemi ogniami znikło w sterczących zaroślach pobraża: ukazywała się tylko ieszcze *Koźła Wieża*, wznosząc w powietrze swój czarny posępny wierzchołek i przez odbicie nurzając go w drzymiącym rozlewie zatoki. Po prawéj stronie brzegu rybacy krzatali się około zastawienia sieci na dobę nocną a ich prowansal-

skie śpiewy odpowiadały sobie z bliska i zdaleka. Co raz ciszej robiło się na brzegu, coraz rzadsze migwały ognie po wsiach, wedle których szybowali nasi podróżni: ich łódka spokojnie prze-rzynała morze, a maytek od steru bezpiecznie sobie podrzymywał. Klara i iéy towarzysz, każde się osobno u-sadowiwszy, słowa nie rzekli do sie-bie, i tylko z piersi Klary dobywały się niekiedy tłumione westchnienia. Prze-cież po niejakim czasie podniosła Kla-ra spuszczoną głowę, zgarnęła z czoła obwisłe pukle i lekkim głosem zaczęła nucić więziku *Oe* następującą piosnkę.

Po rozhlukanych prądach łódkę nurza,
Żeglarza w otchłań popycha,
I coraz sroższa wre na morzu burza:
Próżno do łądu człek wzdycha.

W tém przy iaskrawém świetle błyskawicy,
Nasz żeglarz wzrok gdy wywiera
Tam, gdzie się rozprysł bałwan nawałnicy;
Zieloną niwę przeziera.

Lecz tam zawinąć próżno usiłując:
Bałwan, maszt trzaska, pogrąża.
Zwiątpiały zatém z łodzi wyskakując,
I do przystani wpław zdąża.

Długo wśród nocy w zapasy z orkanem
Chodził już niemal zwalczony:
W tem silnie porwan wybawczym bałwanem,
Na brzeg zostać rzucony.

W twardym letargu tu zaległ przy skale
W omdlenia więzy osnuty:
Tu, nań pryskały zapienione fale,
Wywarłszy zamach swęty buty.

Ocknął się przecież, wstał i swe zwałłate
W głąb łądu kroki kierując:
Aż w tém uderza o okropną skałę
Którą nad brzegiem panuje.

Jéy szczyt ponury, wyniosły bez miary,
Chmur i piorunów igrzysko:
Jéy piastujące czarną noc pieczary:
Ach! iakież dlań widowisko!

On na spadziste pnio się iednak ściany,
On śle głos wiéy rospadliny,
Skąd huczące echo poświst rozdąsany
Niesie w powietrzne krainy.

Nie widać gwiazdy, nieba, ani świata
Morze wre tylko, wiatr wyie
Pewnie daleko leży taka chata
Kędy gościnny człek żyje.

Aż w tem znajduie, pnać się bez wytchnienia,
Drożynę na dół wiodącą:
Potem dalekie słyszy dzwonów brzmienia
I widzi iasność błyszczącą.

Teraz więc męstwem nasz żeglarz się krzepi,
Teraz nadzieją natchniony
Choć się wiatr wścieka, choć éma nocy ślepi,
On goni cel upragniony.

Blaskiem ogniska wiedzion ku domkowi,
Przybył przede drzwi, zapukał:
Wchodzi! a przyiaciół, rzekną żeglarzowi,
Znajdziesz w nas, ieśliś ich szukał.

Czule dziękuiąc, wchodzi tak wezwany
I tu dziewczynę zastaie,
Którę, choć od niéy pierwszy raz widziany,
Nasz żeglarz znanym się zdaie.

Jesze tu burzą groziły obłoki,
Lecz gdy go ona powita;
Wraca pogoda, giną nocne mroki
I ranna róża roskwita.

Witay żeglarzu z dalekiéy krainy!
Jéy oczy tak przemawiały:
Zbliż się, a znajdziesz to w sercu dziewczyny
Coć znaleźć morza wzbraniały.

„Nie zdaie się, rzekł Kasztelanic Sandomirski gdy Klara spiewać przestała, aby kiedy tak przyjacielskie powitanie, nas Sarmackich żeglarzy na brzegach Francyi spotkało, bo to iakiegośmy dotąd doznali, było bardzo rubaszne i twarde.” „Któż wie, z żywością odpowiedziała dziewczyna: zależy to od okoliczności: nie każdy swą osobą uraczy nędzną lepiankę choć go nayuprzęmiéy do niéy zaproszą, a naówczas, przydała z uśmiechem, niech się Jegomość nie użala ieżeli w pustych górach i lasach będzie musiał szukać noclegu. Dziewczyny zamykaią się na noc, ale we dnie rade słyszą kołatanie uczciwego żeglarza.” „Spróbuy więc ze mną, Panno Klaro! rzekł żartobliwie Opacki, zobaczysz czy nie przyyde iak

zawolasz: wszakże ja iestem tulackim żeglarzem, a twoja piosnka iest bardzo stosowna do nas obojga.“ Jesteś wprawdzie żeglarzem, odpowiedziała Klara ze wzruszeniem i zacinając się: zaniechay przecież takich mów, a nie zapominay co ci Matka Hebert przy pożegnaniu gadała: ja nie mogę przyjąć podobnych żarcików od młodego kawalera, wśród głębokiej nocy, na wodzie, i prawie sama iedna: z resztą nie względem iednej rzeczy mamy się jeszcze umówić, nie marnuymy więc czasu na próżną gawędę, bo za kilka godzin będziemy w *Saint Chamans*.

„Nie godzi się wprawdzie, odezwał się po małej pauzie Opacki, wierzyć w gusła, przeeciż iakeśmy podróż naszą zaczęli pod złemi prognostykami; tak się nam dotąd nie naley piły w niey wiedzy. Gdyśmy w *Warszawie* wsiedali na konia, mając się puścić w tę nie-

szczęsną podróż; przystąpił na dziedzińcu zamkowym do Królewicza Pana mego iakiś stary Astrolog, uchwycił iego konia za trzęle i rzekł polacinie: Miłościwy Panie, na drodze którą się puszczasz, unikay Franków. Wówczas śmialiśmy się z tęg wroźby, ale teraz poznaliśmy że staruszek dobrze mówił. Jak też w tym kraju sądzą o takich rzeczach.“ „Król, odpowiedziała Klara, i przedniější panowie w *Paryżu* i *Saint Germain* mają do nich wielką wagę przywiązywać. Król, iak powiadaia, trzyma nawet Astrologa, którego się radzi w wątpliwych przypadkach. Oprócz tego musiałeś slyszec o moim rodaku *Nostradamus*. Ale co do mnie, ja nie bardzo w takie rzeczy wierzę, zwłaszcza w to co mi niedawno wróznono.“ „Niezawodnie musiano ci wrózyć piękne prognostyki, odezwał się Kasztelaniec: pewno ci przepowiadano męża i bogatego i ze znaczeniem, bo zwy-

czaynie taki towar iak z rękawa wytrząsaia wróżbici, zwłaszcza gdy maia do czynienia z tak rożumnemi i pięknemi iak ty dziewczętami, w tym zaś razie nie mogę nawet pomyśleć aby się za swoje wróżby wstydzili." „Nie szafuyno tak hoynie komplementami mój kuzynku! Co nie zgadłeś to nie zgadłeś. Była tam wprawdzie o czemś podobnem mowa, ale ta miała tak dziwaczne i opaczne brzmienie, że mi się zbierało i na płacz i na śmiech. Raz wraz mi gadano że iakieś wielkie szczęście mnie spotka. Posłuchay tylko. Powiadała że wy na północy w czarnoksięstwie i wieszczbiarstwie bardzo się kochacie, być więc może iż to co mi wróżono potrafisz wytłómaczyć. Rok temu, mówiła dalej Klara, był iarmark w *Aix*, a Wielmożna Pani Hrabina mnie i innym pokoiówkom swoim pozwoiliła wyysć między tasy: dała nam nawet pieniędzy abyśmy sobie co sprawily.

Gdy tam iesteśmy i targuiemy wstażki, korale i inne drobiazgi; runął z nie-nacka po rynku tartas bębenków z dzwonekami iakie u nas Baskijskiemi nazywaią i wytoczyła się zgraia, dziwnie pstro ubranych, płasaiących, skaczących, i ochoczo trzesczadłami porbrzekuiących Cyganów. Wtém zawoła iedna z nas. O! przedziwnie: niechże nam wróżą ci smaglawcy, a dowiemy się iakich też mężów dostaniemy. Zaczęłyśmy tedy radzić czy mamy ich zaczepić lub nie, a gdy stanęło na tém abyśmy ich zaczepily; przystąpiłyśmy do nayładniejszhey cyganki i zaczęłyśmy iey zadawać pytania. Ale ta zaklęła się przed nami że ieszcze nie czuie w sobie tyle i takiego natchnienia, aby na iey wróżbę spuścić się można: lecz oto tam, mówiła do nas, stoi babula, którhey nic nie tayno co się stało lub co się ma stać pod słońcem. Poszłyśmy więc do tēy przemądrēy babuli, która

gdyby iakie straszidło wyglądała. Jęła ona śledzić linię rąk i rysy twarzy moich towarzyszek i wróżyć każdéj to męża z honorami i majątkiem, to coś podobnego. Jednéj obiecywała chrobręgo woiaaka bruneta, drugiéj majątnego kupca, trzeciéj uczonego Adwokata, i tak daléy. Radość była wielka. Każda zdziwcząt czém mogła obdarzyła staruszkę, a wszystkie śmiały się i przedrwiwały z siebie, i zgadywały który też ze znaiomych który miał się dostać. Ja bez wzdrygnięcia nie mogąc spojrzeć na tę szkaradną babę, stałam nieco opodal: ale koléy i na mnie przyszła. Postąpiłam ku niéy nie chcąc się wyłączać od moich kamrutek. Dopieroż gdy stara Cyganica wpatrując się w ciąg moięy twarzy, ustroiła poważną i zadumaną minę; zajądała odemnie cichym głosem i z ugrzecznioném ułożeniem, aby iéy wolno było linię moięy ręki obejrzyć. Ja zaczę-

łam trwożyć sobą i już myślałam dać drapakę, ale mnie wstyd było ludzi, którzy ciekawi końca téy sceny otoczyli nas do koła. Podalam iéy więc rękę moię, a ona przez sporą chwilę wpatrywała się w iéy linię, twarz swoię coraz więcéy marszcząc i wykrzywiając. Wtém nagle puszcza moię rękę i tak gwałtownie upada na kolana przede mną; żem z przestachu przeraźliwie krzyknęła i o kilka kroków odskoczyła: co widząc inne dziewczęta rozpierzchły się w okamgnieniu. Cyganica zaś ciągle zostając na klęczkach, tłumacząc swoje uszanowanie dziwaczniemi iestami i szebiocąc co niemiara, zaczęła mi różne dziwy wróżyć, iako to, ile pamiętam, że nie tylko iednego męża mieć będę, ale podobno czterech lub pięciu, że dostąpię wielkich bogactw i zaszczytów, lecz że szczęście moie, gdy najwyższego szczebla dosięgnie, poprowadzi mnie do szpitala, że w tym szpi-

talu dość długi czas zabawię i że wyjdę stamtąd abym weszła w śluby małżeńskie z królem i duchownym. Powiedźże teraz Panie Błażeiu, iak ci się ta wróżba zdaie, i czybyś iéy nie wytłómaczył?“ „Wróżba ta nie mało zadziwia, rzekł z uśmiechem Opacki: gdy iednak takim rzeczom przez pół tylko wiarę dać można; więc ia ci radzę, moja Klaro, trzymać się tylko pierwszej części, która nie źle brzmi dla ciebie chociaż nic osobliwego o najpierwszym mężu nie zwiastuie.“ „To ci się Błażeiu! ta wróżba śmieszną zdaie, rzekła Klara z obruszeniem: co mnie to ona wcale nie śmieszyła, przeciwnie wydała mi się bardzo żalobliwa, mnie i moim towarzyszkom: bo, czy to im nie przypało do smaku zbytne dla mnie uszanowanie cyganki, czy że przeczuwały coś złego dla biednéj Klary; dość że z politowaniem poglądały na mnie i coś szeptały między sobą. Ale daleko

więcéy dotykała mnie sama wróżba: bo dziękuię za takie szczęście, które kogoś do szpitala prowadzi, a od zameścia z księdzem Boże mnie uchoway!“ „Jakem powiedział, rzekł Opacki, trzymaj się wróżby tylko przez połowę. Może też starą cygankę wśród tak gwałtownych uniesień odeszły zmysły, a ona w ów czas sama nie wiedziała co gadała.“ „Nie, nie, mój Panie odparła Klara: ieżeli połowa iest prawdziwa to i całość musi być takąż. Rozumiem ia z resztą co mi zwiastuie wróżba. Król który mnie ze szpitala wywiedzie, iest to śmierć bo też śmierć króluie nad światem, a duchowny za którego mam poyść; będzie to, da Pan Bóg, lepszy żywot przyszły.“ Tu na chwilę umilkła Klara, a potem, przybrawszy weselszy humor, tak mówiła daléy: „Nie mogę nawet zgadnąć skądby się miał wziąć ten Król, bo nasz personat Pan Piotr *Valentin* z Greno-

bli, Adwokat Parlamentowy, tak wygląda na Króla iak ten nasz maytek na kardynała.“ „Ależ, co nie iest to ieszcze bydz może, rzekł żartobliwie Opacki. Rozmaite są Korony na świecie, a iесли narzeczony ieszcze żadney nie ma, to może ty potrafisz“..... „Jeżeli się masz popisywać z takimi żarcikami, mój ty przedowcipny Panie; to lepiéy daymy pokóy wszystkiemu, z gniewem odpowiedziała Klara. Zresztą nie chcę wiedzieć o Panu Walentyńie, a teraz ani o tobie.“ To rzekszy, odwróciła się zadąsana Klara, i tak rozmowa obojga została przerwana.

Już zaczynało świtać, iuż świeży ranny wietrzyk marszczył fale zatoki, kiedy statek zbliżył się do wystającego, winnicami i drzewami cytrynowemi okrytego przylądka. Długo milcząca, teraz się odezwała młoda Prowansalka i rzekła: „Otóż iesteśmy u przy-

ładka czterech braci, po za którym leży miasteczko *Saint-Chamans*: Umówmy się tedy co daléy mamy czynić, bo późniejszy czas nie będzie po temu. Bądź tedy synem siostry moiego oycy, *Błażciem Maguiretem* z Klermontu w Auvergne, i licencyjatem. Bądź nim powiadam, bo właśnie masz akcent Auvergnaków. Utrzymuy żeś przyszedł do *les Martigues* po to abyś mnie odprowadził do *Lambesk* i abyś tam za protekcyą Hrabiny *Valois* Pani moiéy, znalazł pomieszczenie przy Królewskiéy Intendenturze lub u Gubernatora Prowancyi: daléy że twóy Oyciec zwał się Jan Chrzyciciel *Maguiret* który był pisarzem przy Sądzie ziemskim Klermonckim, a twoia Matka Maria Magdalena *Herbert*: że oboie iuż nie żyją, że ty nie masz ani brata ani siostry, że liczysz sobie 22 lat wieku. Reszty dowiesz się z listów które ci doselać będę. Przebywać będziesz w *Lambesk* albo w *Aix*

które to oba miasteczka leżą niedaleko miasta *Salon*. Gdyby coś takiego zaszło coby pociągnęło za sobą potrzebę iakiéy zmiany w téy naszéyzmowie; naówczas udasz się do Awinionu do Pani *Silvain* moiéy i twoiéy ciotki. Nie zapomniyże com ci powiedziała, a teraz śmiało dobiiajmy do lądu.“

III.

POŚLAŃCY KRÓLEWICZA W DRODZE
DO PARYŻA.

Rezydencyia Arcybiskupa *d'Arles* w miasteczku *Salon*, długo pustkami stojąca dla tego że iéy właściciel, obyczajem ówczesnych francuskich prałatów, przemieszkiwał w *Paryżu* i w *Saint-Germain* blisko dworu Królewskiego, stała się teraz teatrem hałasu i poruszeń. Pokoie tego gmachu były zajęte przez poczet Jana Kazimierza, Królewicza Polskiego, a straż ze stu ludzi złożona zmieniała się codzień przed przysionkiem i zalegała schody i korytarze. Już upłynęło trzynaście dni, a ieszcze nie powrócił goniec z *Saint-Germain*, ieszcze Gubernator nie pokazał się *Janowi Kazimierzowi*. Wysłał więc Króle-

wicz *Andrzeia Basio* swego Sekretarza do *Lambesk* do Hrabiego *Valois*, z przełożeniem, aby mu dozwolono wyprowadzić jednego z powierników swoich do Paryża, z listami do Arcychrześcijańskiego Króla.

Samuel *Opacki* przybywszy z piękną swoją przewodniczką do *Lambesk*; stanął gospodą w małym domku gdzie żył w cichości, iak wypadło na stan i nazwisko, które był przysposobił, czekając chwili którąby Klara *Hebert* za najdogodniejszą uznała do przedstawienia go Hrabinie *Valois*. Dama ta, niegdyś Panna *de Bouteville* z domu *Montmorency*, dzieliła nienawiść którą ta odwieczna familiia skutkiem najsłodszych uraz, zaprzysięgła Kardynałowi *Richelieu*, ale ją dzieliła tylko skrycie bo Ludwik Hrabia *Valois* iéy małżonek, nauczony niejednym zatrwazającym przykładem, stał się ślepem narzędziem w ręku przemożnego

ministra. Hrabina *Valois* była dawniey panną honorową na dworze *Anny Rakuskiej*, ale gdy zapamiętały Minister wziął się usunąć od Królowy wszystkich którzy iéy byli drogimi, kiedy nawet Panna *de Hautefort*, chociaż lubiona od Króla, nie wybiegała się przed wyrokiem wygnania; musiała i *Hortensia de Bouteville* opuścić *Louvre* i poczytać sobie za szczęście, że Pan *Valois* iéy ręki zażądał i ofiarował opiekę której ta osierociła prześladowanego rodu plemienniczka aż nadto potrzebowała, a której nawet iéy krewna, Księżna *de Condé*, siostra ściętego *Montmorency* nie śmiała iéy udzielić.

Dnia iednego, gdy młody Polak, sam ieden w swojej małej izdebce siedząc, tłumil w sobie boleść, żadney nie odbierając wiadomości od *Konopackiego z Salon*; usłyszał pukanie do drzwi i wnet uyrzał młodego chłopca który się

spytał o licencyata *Błażeia Maguiret*? Gdy Samuel oświadczył że on iest tym Błażeiem; chłopiec oddał mu karteczkę mówiąc: od twoiëy cioteczney siostry Panny Klary *Hebert* i odszedł. Znaydowały się w liście Klary następujące słowa: „Za dwie godziny ma się Błażëy znaydować w pałacu Gubernatora, gdzie będzie wprowadzony do Wielmożney Pani Hrabiny *Valois* przez swoię orędowniczkę.” Wdziawszy Samuel suknie świąteczne, zgodne ze świeżo przysposobionym stanem, wybrał się i przybył dokąd był powołany. Tu zaraz w przedpokoju pańskim zastał Klarę *Hebert*. Obrotna dziewczyna udając poufalość względem przybyłego koligata; ujęła go za rękę w obec dworskiëy służby i w wesołym humorze rzekła: „Dzień dobry kuzynku. A! iakżeś się wystroił! ale też i słusznie, kiedy masz wystąpić przed tak piękną i wielką damą. Tylko nie bądź tak nieruchawy:

któż wie zresztą, powiedziała dobitniëy, czy z tego skromnego i potulnego licencyata nie będzie kiedy tëgi wo-
iak: w ówczas przybierze on inną minę. Ale to nic nie szkodzi: znaydzie się to wszystko iak on powróci z Paryża, z tëy wysokiëy szkoły obyczajności i poloru, dokąd rad zdąża aby się upomniał o naszą puszcznę po świętëy pamięci wuiu naszym Antonim *Bassillon*, czapniku przy ulicy piekielney, na przedmieściu świętego Jakoba. Ale póydźże dalëy Błażeiu?” Jeszcze młody Polak nie dospiał odpowiedzieć, kiedy głos dzwonka z głëbi pokoju przesłany powołał pokoiówkę. Klara wpadła do pokoju, za moment znowu powróciła, wzięła koligata za rękę i wprowadziła go do Hrabiny *Valois*. Okiem łaskawem weyrzała dostoina dama na młodego Kasztelanica Sandomierskiego, a potem z uśmiechem przemówiła do Klary: „Więc to twój

koligat z Auvergne? Jak widzę nie poślednia krew płynie w waszym rodzie. Panie Błażeiu czy prawda że chcesz przyjąć służbę? uprzedem zapytała Opackiego Hrabina. Prawdziwie dobrą sobie obrałaś orędowniczkę: wiele mi ona dobrego o tobie mówiła." W milczeniu, z wyrazem wdzięczności pokłonił się Polak, a Hrabina tak dalej mówiła: „do czegoż więc młodzieńcze miałbyś ochotę?" „Racz mieć wzgląd na to łaskawa Pani, z nienacka wyrwała się Klara, że z mego koligata nie wielki mowca: wszakże, mnie się tak widzi, że on do niczegoby się nie zdał, ale, co żołnierz to byłby przedziwny z niego." A to nie najlepsze rzemiosło przeznaczasz dla twego koligata, rzekła Hrabina. Żołnierstwo, które się teraz po Francyi snuje, jest nieokrzesane i nie wiele lepsze od tych Kondottierów i Armagnaków, o których za przeszłych lat wiele mówiono, ale nie na ich po-

chwałę. Ich towarzystwo łatwo zepsuie najlepszego człowieka." „Do czegokolwiek łaskawa Pani przeznaczyć mnie raczysz, zaczął nareszcie Polak przewyciężywszy udaną nieśmiałość, zawsze będę usiłował okazać się godnym twych względów, a nawet gdyby tego była potrzeba, mógłbym zamienić oręż na pióro." „Nayprzyzwocić młodemu człowiekowi, odezwiała się Klara z żywością, broń nosić, a iak Koligatowi moiemu, to naykorzystniéj: tym bowiem sposobem z łatwością przyszłoby mu dostać się do Paryża, gdzie iak Wielmożnéj Pani wiadomo, mamy odebrać małą successyją która na nas spadła. Boć zapewne słyszałaś łaskawa Pani, mówiła dalej Klara tonem nieco szcziotliwym, że Włoch który dopiero co wyszedł od Pana Hrabiego, Sekretarz Królewicza polskiego, ma iechać do Paryża i że iaki go dzien zaufania człowiek będzie mu za

przystawa przydany. Otóż mój Koli-gat Błażey iedyny gwoli temu. Jest to człowiek, iak się o tém Wielmożna Pa-ni przekona, nie okwity w słowa, ale co do dzieł rycerskich, to nie masz iak on. Ręczę że przy takim przystawie czarno-togaty Wloch na krok nie zbłądzi ani w prawo ani w lewo. Niech więc, za pozwoleniem Wielmożnéy Hrabiny Błażey zostanie żołnierzem: a gdy powróci, pokaże co to on zacz. Ja nie mogę cierpieć młodzików którzy nie nosili oręża, albo nie rozumieją, co to jest dobyć go w potrzebie.“ „Oy ty! ty!, rzekła Hrabina do Klary, uśmiechając się i palcem grożąc. Ale żart na stronę: chciéy na to baczyć że choć ia za twą przyczyną iestem gotowa wszystko z siebie uczynić dla zapewnienia żadanéy posady Błażeiowi; to przecież w tem nie moja dobra chęć, ale wola Gubernatora mego małżonka, a może i Kapitana Chantereine stanowić bę-

dzie.“ Klara padszy na kolana przed Hrabinią z czaruiącym w postawie i w oczach przymileniem odpowiedziała: „O gdybys tylko chciała Pani i Dobrodzieyko moja, któżby ci śmiał opór stawiać? A do tego więcéy mi tu idzie o ciebie niż o mnie samą i o mego Koli-gata. Nie pamiętaszże Pani o listach do Panny *La Fayette*, do Xieźniczki *Maryi*, do Pana *Cinqmars* Wielkiego Koniuszego? Wiemy wszyscy ile *Chantereinowi* albo któremu z iego ludzi można zaufać w sprawie na którą wielki Pan w *Ruel* mógłby krzywém okiem patrzeć. Ale co za mego Błażcia to ręczę: on Ci dowiezie listy dokąd potrzeba, a nikt na świecie o tém wiedzieć nie będzie. Nieprawdaż kuzynku? do-dała: obracając się w ieszcze klęczący postawie do zdumionego i wzruszonego Polaka. Wszakże chcesz wiernie, i gdyby tego było potrzeba, z narażeniem własnego życia usłużyć Wielmożnéy

Pani która cię łaskawością swoją obdarza“? „Tysiąc razy gotówem poświęcić życie za moję Dobrodzieykę.“ z czuciem odezwał się pokoiowiec Królewiczowski, kiedy iego oczy więcęcy na Klarę niż na ięć Panią były zwrócone. „Masz słusność Klarko, rzekła Hrabina po małym pauzie zamyslenia: masz słusność moie kochanie. Jeżeli Błażey będzie mi tak wierny iak iego-cioteczna, to ia dla niego stanę się dobrą i Miłościwą Panią.“ To powiedziawszy podniosła Klarę, pocałowała ją w czoło, uprzejmém skinieniem dała odprawę młodzieńcowi i odeszła do gabinetu. Teraz Klara z uśmiechem radości, lecz cichym głosem przemówiła do mniemanego Koligata: „A co, czy docierałam interesu, Panie Kasztelanicu?“ Opacki zaś iestami i uściśnieniem ięć ręki tłómaczył nacyzulszą, dla swęć młodęć tyle gorliwęć orędowniczki, wdzięczność.

Gdy Samuel i Klara mieli się żegnać, wyszedł z pokoju Gubernatora z Kapitanem Chantereine, niski, blade i łysy Jegomość. Jego mina tchnęła myślącym rozumem, iego twarz odznaczała się rysami Włoskiemi, iego suknia i krótki płaszcz były czarnego koloru, a na iego piersiach wisiął złoty honorowy łańcuch. Samuel Opacki usunął się na bok, bo z pierwszego zaraz weyrzenia poznał Andrzeia Basio Sekretarza Królewicza Polskiego. Za nim, szedł w podobnym ubiorze ale urody roslęć i siłnęć Marescotti, Sekretarz Hrabiego Valois. Ci obadwa Włosi, zajęci pilną rozmową, nie zatrzymali się w sali lecz prosto zmierzali ku schodom. Opacki słowa nie powiedziawszy, pożegnał Klarę, i cały uradowany powrócił do swęć szuplęć stancyi.

Nazaiutrz, był on wezwany do *Chantereina* który mu oznaymił, że iest przy-

ięty do Prevotalnéy straży Gubernatora Prowancyi. Młody rycerz okazawszy zręczność w robieniu bronią, w czém więcéy biegłości niż iego Mistrz pokazał; otrzymał nielada stopień, bo stopień *Anspesada* (Kaprała) a razem wezwanie aby był gotów wyruszyć do *Aix* gdzie odbierze dalsze roskazy.

Wnet przez swego małego posłańca uprzedziła go Klara Hebert, że ią zastanie w ogrodzie pałacowym. Tu się z nim zeszedłszy, i zaprowadziwszy go do pobliskiego szpaleru, w tych słowach mówić zaczęła: „Za kwandras otrzymasz rozkaz, abyś się udał do *Aix*, gdzie zastaniesz Włocha, któremu do Paryża będziesz towarzyszył. Oto są listy moiéy Pani, które masz wiernie oddać do własnych rąk tym, do których są pisane: idzie tu o to abym ią i nadal tobie i twemu Panu mogła być przydatną. Zróbże mi tę łaskę, stań w

Paryżu w domu Czapnika, twego świętęy pamięci Wuia, aby tam, gdy tego zaydzie potrzeba, mogły cię znaleźć listy ode mnie. Jedźże z Bogiem, a niebóy się o twego naylepszego lecz nie-szczęśliwego Pana. Tu zostaje mu przyjaciel który.... Jedź z Bogiem kochany Błażeiu!“

Przybywszy do miasta *Aix*, siedli-ska władz zwierzchniczych Prowancyi, dowiedział się nasz rycerz że cudzoziemiec któremu miał towarzyszyć, już od dwóch dni czeka na niego, lecz że wydanie paszportów wyjazd iego odwleka. Dzień przeznaczony na odjazd, był posępny i mglisty. Osłoniwszy twarz płaszczem, z kancelaryi w któręj otrzymał odprawę wyszedł nasz kapral na dziedziniec Prevotalny i tam znalazł poruczonego sobie *Basio*, kiedy ten sznurował swój tłumoczek na drogę. Nic nie mówiąc do siebie, wsiedli oba

na konie, i wyiechali za mury miasta *Aix* na gościniec Paryski, Włoch naprzód, a zaraz za nim tego przystaw. Gdy już byli o pół mili od miasta zawołał ten ostatny „*Andrea Basio! Signor Andrea!*“ „I czegoż chcesz?“ odmruknął Włoch zatrzymując konia. „Obeyrzyj się przecie i przemów do twego towarzysza Panie Andrzeiu, abysmy się nie nudzili w tak długiej podróży:“ temi słowy odezwał się młody szlachcic, i spiąwszy konia ostrogami stanął przed nim z odsłoniętą twarzą. „*Santissimo nome d'Iddia!* (Najświętsze imię Jezus) zawołał Basio kiedy mu od strachu trenzle z rąk wypadły. To Samuel Opacki zacny pokoźwicz naszego Miłościwego Pana! A ty się skąd wzięłeś i w jakieyże to widzę cię postaci?“ „Moja postać nie jest wprawdzie bardzo powabna, odpowiedział Opacki: ależ przecie zawsze jestem twoim dobrym przyjacielem Panie Sekre-

tarzu i wiernym sługą naszego Królewicza.“ Dopieroż, ochłonawszy, zaczął Włoch sypać pytania, na które odpowiadał Polak, o Klarze iak można było najmniéj spominać. Nie posiadał się z radości Basio, widząc że w tak długiej i niebezpiecznej przeprawie znalazł towarzysza na którego przychylnosć i sprężystosć mógł w każdym razie rachować i wynurzyć się przed nim ze swemi obszernemi, głęboko zważonemi, politycznemi planami. W najlepszej harmonii strażnik i strzeżony odprawiali podróż do Lyonu, gdzie się złączyli z pokojowym Królewiczowskim, Mikołaiem *Bassanet* rodem Niderlandczykiem, i po czem wszyscy trzej przebywali błogie obszary Francyi.

O dwa dni drogi za Lyonem straszna i ciągła ulewa nie dopuściła aby nasi podróżni wejść mogli w rozmowę. Po ich noclegach ciężko było słowo wydobyć z niepojętego Włocha, a ile ra-

zy gadatliwy Niderlandczyk wystrze-
lił z pytaniem lub z oświadczeniem;
tyle razy ponure spojrzenie i mrukli-
we poruszenie Basiusza kładło tamę
potokowi słów iego. Aliści wyjaśnił się
trzeci poranek i zapowiedział pogodę.
Nasi podróżni iechali właśnie przez las
zachmurzony mgłą, a żywý duszy nie
było widać na wytkniętym pod snur
gościńcu. Wtedy tak zaczął *Bassanet*:
„Czyż mamy z tak zawartemi gębami
aż do samego Paryża iechać, czyż ie-
den od drugiego nic się nie dowie? Już
niedopiero uważam z iaką Pan Kaszte-
lanic niecierpliwością oczekuje na wia-
domość o Jego Królewiczowskiéy Mo-
ści Panu naszym, o iego utrapioném
więzieniu, a ia też, który iak Panu Se-
kretarzowi wiadomo, niby się odpra-
wiwszy od Jego Królewiczowskiéy Mo-
ści, wyiechałem z *Salonu*; upraszał-
bym cię wysoce-uczony Panie *Basio*
abyś dłużey, co twoiéy wiedzy nie u-

szło, przed nami tać nie raczył, tym
bardziéy że w tém mieyscu nikt nas
nie podsłuchuje, chybaby te zielone
drzewa, których świegotliwości nikt się
przecież obawiać nie może.“ „Nuże
Panie Andrzeiu, odezwał się Kasztela-
nic, rozewrzyj przecie usta i naucz
mnie, co się działo z naszym Królew-
czem i z wami wszystkimi, od czasu
iak się z wami rozstałem.“ „Kiedyé
żądaś tego koniecznie, Panie Kaszte-
lanicu! odpowiedział Włoch, *Infan-*
dum Samuel! iubet renovare dolorem
(Niewypowiedzianą każesz odnawiać
Samuelu boleść); tedy ci opowiem iak
marnie Jego Królewiczowska Mość swo-
ie drogie momenta trawi w żelżywém
więzieniu francuskiem. Mała izdebka
w wielkim pałacu Arcybiskupa *d'Arles*
składa mieszkanie mego Miłościwego
Pana: do téy izdebki przypiera bezlu-
dny korytarz po którym dozwolono
Królewiczowi zażywać przechadzki, a

razem widzieć światło słoneczne i od-
dychać świeżem powietrzem o ile te
przedrzeć się mogą przez gotyckie o-
kien wylomy. Nie podobało się snadź
Naywyższemu, obdarzyć synów wie-
kopomnéj pamięci Zygmunta III, tego
potężnego Świętęj Katolickiéj wiary
filaru, silném i wytrwałem zdrowiem.
Oto Jego Królewska Mość, dziś panu-
jący *Władysław IV*, iuż niedopiero
jest dręczony podagrą. Jego Eminecya
Kardynał Królewicz *Jan Albert* i Je-
go Królewiczowska Mość Książę *Ale-
xander*, który imiennikowi swojemu,
Macedonii Królowi, zrównać obiecował,
zaledwie młodzieńczych lat doczeka-
wszy, w iednym dniu to doczesne ży-
cie zakończyli, pierwszy w sławném
mieście *Padwie*, mieyscu moiego uro-
dzenia, drugi w lichéj chacie w *Gróy-
cu* pod Warszawą. Nie naylepiéy się też
ma Jego Przewielebność *Karol Ferdy-
nand* Biskup Płocki i Wrocławski. Ale

co gorsza, oto! utrapienie i troska pod-
kopuią zdrowie i życie naszego Kró-
lewicza i Pana, (którego ia słusznie
nazwałbym ostatnią Wazów nadzieią)
iak to wiem od samego lekarza Jego
Królewiczowskiéj Mości, przezacnego
Doktora *Jana Felbera*, a straszne my-
śli od których prawie nigdy nie był
wolny, iak mi to napomknął Wielebny
Oyciec *Jerzy Leyer*, osłabiły iego u-
mysł. Jedyną roskosz i pociechę znay-
duie on w zespoleniu i rozmowie z O-
patem *Alexandrem Konopackim*, któ-
ry czerpaiąc radę w swéj mądréj i
doświadczonéj głowie, umie rospędzać
iego melancholią przywodząc mnogie
przykłady o uwięzieniu synów Króle-
wskich i znowu o ich oswobodzeniu.
Innym Panom rzadko kiedy udziela się
Jan Kazimierz. Nieco za rubaszna we-
solaść i mniéy zważający temperament
Margrabiego *Gonzagi*, w których za
lepszą przeszłości podobała sobie Je-

go Królewiczowska Mość, teraz nie bardzo mu są do smaku. Pan Marszałek, i Pan Podkomorzy Krakowski przyczyniają mu złego humoru, sami nie lepszy mając i wygadując przeciw francuskim władarzom. Młody Teodor *Denhoff*, pelen nadziei Woiewodzie Malborski, szuka z takimi jak sam pociechy w iadle i napoiu. Od téj liczby wyłączam przecieź Henryka *Korffa* Starostę Rewalskiego który, jak lekarze dali się słyszyć, wcale po hypokratycznemu wygląda i podobno nie mógłby powrócić nad bałtyckie morze.“ Ja mimoto spodziewam się, przerwał Opacki nieco rozwlekł opowiadanie Basiusza, że przynajmniej nie ubliżą Janowi Kazimierzowi czci jaką się krwi Królewskiej należy.“ „A ja nie ręczyłbym za to,“ odpowiedział *Basio*. Bo uważ tylko Panie Kasztelanicu: oto, Ludwik Hrabia *Valois* dotąd nie mógł się wybrać aby złożył Królewiczowi winne

uszanowanie, chociaż pod tym pozorem przytrzymano naszego Pana: gdy zaś ma jaką z nim czynność, to ię dokończa przez *Chantereina* któremu szczególny dozór nad Najjaśniejszą Osobą ięca jest poruczony. Ten zaś *Chantereine*, który bez wątpienia, o tém tylko myśli żeby przez swoją gorliwość w służbie zaskarbił sobie łaski Kardynała, pierwszego Ministra Richelieu, tak zupełnie obchodzi się z Królewiczem jak prawdziwy temenicznik. Miał on nawet czoło przetrząsać pakunek i papiery Pańskie, i tak Jego Królewiczowskię Mości jak każdemu z iego dworskich wzbronić wszelkię styczności ze światem, wyjąwszy z takimi ludźmi których bazyliżkowa fizyognomia zaraz uczy co oni zacz, iakiego ducha dzieci i w iakim celu mają dozwolony do uwięzionych przystęp. *Chantereine* naselając tych ludzi, niepokoi tylko umysł Królewicza: bo ci rozsiewa-

ia wieści, które raz obawę drugi raz nadzieję w nim rodzą. Tak właśnie niedawno, kiedy Pan nasz dał się słyszyć że chciałby mnie swego najuniżeńszego sługę wysłać do *Louoru*, do Jego Mości Króla Francyi i Nawarry; puszczono pogłoskę i ia do uszu Królewiczowskich pchnięto, że Ludwik XIII. życzy sobie poznać swego kuzyna i że goniec Gubernatora przywiózł roszak, aby w tym celu ułatwiono Królewiczowi podróż do *Saint-Germain*. Uwieziony tą wieścią nie myślił już Królewicz wysłać mnie do Luwru: ale wkrótce fałszywość gdyby oliwa na wierzch wyszła. Królewicz naówczas wyrzuciwszy *Chantereinowi* iego niegodziwe postępowanie, zaczął mocno nastawać, aby mu nie wzbraniano, mnie, Sekretarza swego wysłać do *Lambesk* do Hrabiego *Valois*, któremu miałem przelożyć żądania Jego Królewiczowskiéy Mości. Gdy tu opierać się nie

mogł temenicznik; ia pod iego przystawą wybrałem się do *Lambesk*, gdzie iak na przekorę Igarstwu Chantereina, zastałem Gubernatora, Hrabiego *Valois*, w pożądanym stanie zdrowia, i otrzymałem od niego list do Jego Królewiczowskiéy Mości Jana Kazimierza. Powróciwszy do *Salon*, udałem się do mego Pana z Kapitanem *Chantereine*, który mnie na krok nie odstąpił. Królewicz wówczas przechodził się po korytarzu, tak silnie końcem pochwy o marmurową posadzkę trącając, że się rozlegało. Przy nim znajdował się Wielebny Opat Wąchocki i Wielebny Ksiądz Spowiednik, którzy zdawali się chcieć rozerwać wpadającego w głębokie zamyślenie Pana. Skoro nas postrzegł Królewicz; zaraz się do mnie obrócił nie spóyrzawszy na Chantereina (który według swego obyczaju dopiero później zdjął kapelusz) i w tych słowach przemówił: „Byway Panie Andrzeiu!

cóż mi tam zwiastujesz?“ Ja zaś od-
dałem mu list który zaraz był w głos
przeczytany i brzmiał iak następuje:
*Hrabia Valois równie mocno iak Jego
Królewiczowska Mość, nad tem ubo-
lewa, że goniec z Paryża dotąd nie
przybył: lecz zarazem spodziewa się
że w krótkce i z pomyślnemi nowinami
nadbieży. Wysłanie powiernika do Pa-
ryża byłoby tem samem zawczesne. Je-
żeli Królewicz żąda widzieć się z Gu-
bernatorem; tedy ten nie omieszka słu-
żyć na Jego rozkazy, skoro mu stan ie-
go zdrowia pozwoli: jeżeli zaś konie-
cznie przytém obstawać będzie, aby ko-
goś ze swych dworskich wysłał do Pa-
ryża, tedy posłaniec ma się udać do
Aix, gdzie potrzebny paszport otrzy-
ma. *

Gdy Królewicz skończył czytanie ta-
kiego listu; *Chantereine*, iak zwykle po
brutalsku, w tych odezwał się słowach.

Wola Królewiska iest abyś Wasza Kró-
lewiczowska Mość pozostał w *Salon*, al-
bo, jeżeli wolisz, do *Aix* się przeniosł. —
Nie dopuszczę, z oburzeniem odparł Kró-
lewicz, abyście mnie, syna i brata Kró-
lów, iakby na dziwowisko wodzili po
Francyi i z więzienia do więzienia prze-
rzucali. Nie chcę słyszyć o przenosinach
do *Aix*. — Wysłanie Pana *Basio* tym iest
potrzebniejszy, odezwał się Opat Wą-
chocki, kiedy twoie własne słowa Pa-
nie *Chantereine*, przez które zapowia-
dasz nam wolą Króla Francuskiego, prze-
konywają że goniec którego Hrabia *Va-
lois* był wysłał, w brew brzmieniu do-
piero przeczytanego listu rzeczywiście
powrócił, i kiedy tem samem oczeki-
waie Jego Królewiczowski Mości
musi doznać zawodu. — Ja rozkazuie, do-
dał Królewicz z żywością i tonem go-
dnym siebie, aby mój Sekretarz udał
się do Stolicy a uchoway was Boże a-
by się mu co złego stać miało. Dość

ieszcze jest Francuzów w kraiach mego brata i Króla. Krew za krew a głowa za głowę, tak brzmi w ostatnym razie prawo odwetu. To wyrzekłszy Królewicz skinął na *Chantereina* aby odszedł, a sam udał się ze mną do swego pokoju, gdzieśmy spędzili noc na wygotowaniu listów które z sobą wiozę. Są one do Jego Arcychrześcijańskiéy-Królewskiéy Mości, do Wielbnego Oycy *Jozefa* Kapucyna, do Kardynała, do Nuncyusza Papieskiego i do Posła Rzeczypo spolitéy Genuéńskiej. Udałem się potem do *Aix* gdzie mnie, iak tylko można było, naydłużéy zatrzymywano. Gdyby nie odgróźki Królewicza, nie byłoby przyszło do skutku moje posłannictwo, bo oczywiście nie bardzo ono trafia w myśl tych Panów. Zapowiedziano mi nakoniec, że mogę odiechać pod przystawą iednego wojskowego. Z wielkiem moim zadziwieniem a z ieszcze większém ukontento-

waniem znalazłem wtym Wojskowym Ciebie Szanowny Panie Pokoiowcu Królewiczowski a Kasztelanicu Sandomirski.“ „Rzecz osobliwa, zawołał Niderlandczyk śmiejąc się głośnie i zacierając ręce, że to Ciebie Wielmożny Panie Kasztelanicu na przystawa użyto.“ „Ale ieszcze osobliwsza, Mospanie pokoiowy! rzekł Włoch zmarszczywszy czoło, że tyle wydziwiasz i wrzesczysz: iak gdybyś nie widział tych ludzi, którzy tuż za nami żwawym klusem zdążają. Cóż oni sobie pomyślą, że straż tak poufale ze strzeżonym przestaie?“ Po takim napomnieniu, gdy iechali cicho i poważnie, dotarli do nich dway kawalerzyści, z których ieden, zrównawszy krok z krokiem naszych, zmierzyl ich śledczym okiem, a potem tonem poufalości rzekł do Opackiego: „Dobrze robisz Panie *Ansperade* że się nie spieszysz: ieszcze zawczasu staniesz w Paryżu, day tylko bacznąć na twego to-

warzysza, bo Panu Hrabiemu wiele na tém zależy, aby on bezpiecznie stanął na mieyscu.“ Zayrzawszy nasz Polak w oczy mówiącemu, poznał w nim mieszczanina, którego przy drzwiach gospody w *les Martigues* widział rosprowadzającego z owym zdraycą *Godefroi*, i odparł rubasznie: „Niech cię o nas głowa nie boli, mój Panie: iedź sobie z Bogiem: ja tym Ichmościom z memi pistoletami i kordem dam radę.“ Tak zbyty pożegnał *Le Normand* śmiałego Anspęcada i spiąwszy konia ostrogami pospieszył za swym towarzyszem.

„Otóż widzisz rzekł Opacki do zmieszanego *Basio* iak się gotuią na twoie przyięcie. Ale nie zważaymy na to i, nie tracąc miny, poieżdżaymy.“ „Spomniales mi, rzekł po chwili *Basio* do Opackiego, że i ty masz listy. Powiedzże, iakęś łaskaw, do kogo?“ „Do dwóch Paniën, odpowiedział Opacki z uśmiechem: ale, za twoiém pozwoleniem sam

ie oddać muszę, ieden Księżniczce *Mantuańskiéy*, drugi Pannie *Lafayette*, a trzeci nareszcie Wielkiemu Koniuszemu *Cinqmars* którego nazywaią *Monsieur le Grand*.“ „A! to ci jest czego powinszować mój Panie Kasztelanicu. Ależ, pozwól sobie powiedzieć, ty który tak wysokie pańskie powziąłeś wychowanie, to jest ty któryś się ćwiczył w ięździe, harcowaniu, gonitwach, turniejach, fechtach i toastach; pozwól, mówię, sobie powiedzieć, że też i ja w przesławnej Akademii, to jest w Padwie gdzie się nawet rodził, a później w wielu kraiach i u wielu Panów, z wysiloném nateżeniem przykładał się do polityki i bardzo dobrze oswoiiony iestem z tém co się ściaga do przemożnych Potentatów i do ich wysoko szczytnych Kawalerów, Ministrów, Dam, i innych osób Stanu: owo zgola że i ja iestem nie lada iakim Sekretarzem wielkiego Książęcia.“ „Bynay-

mniéy nie wątpię o tém, z zimną krwią odpowiedział Polak dobrze świadomy upodobania Włocha w ulubionym iego przedmiocie polityki, a raczéy intrygi. Ale, lepiéy zrobisz gdy mi wręcz powiesz iak sądzisz do czego by te które wiozę listy od Pani *Valois* przydać się mogły?“ „To łatwo odgadnąć, odezwał się Szatny *Bassanet*: zapewne to będzie iaka intryga miłosna. Takie rzeczy zarówno w *Paryżu* iak w *Bruxelli* i w *Warszawie* popłacaia.“ „*Ne sutor ultra crepidam* (Szewcze patrzaj kopyta), z postawą napuszoną przemówił Sekretarz. Patrz gotowalni Mospa nie Szatny. Otoż tedy, Panie Kasztelanicu! chcę ci powiedzieć że Jaśnie Oświecona i szeroko władna Panna *Maria Ludwika Gonzaga* Księżniczka na *Mantui* i *Nevers* niegdyś miała ten honor że Nayiaśniejszy Król i Pan nasz Władysław, ią za małżonkę mieć chciał: lecz gdy Kardynał był temu połączeniu

przeciwny, naówczās brat Królewski *Gaston de France*, Książę *Orleanu*, którego we Francyi nazywaią *Monsieur*, powziął myśl starać się o rękę téy Księżniczki. Lecz Królowa *Maria* wdowa i kardynał *Richelieu*, chcąc temu związkowi przeszkodzić, osadzili Księżniczkę *Mantuaniską* w zamku *Vincennes*, co to leży w lasku pod *Paryżem*, a domniemany następca tronu wnet o swéy narzeczonéy zapomniał i zawarł powtórne śluby z księżniczką *Lotaryńską*. Stąd tedy łatwy wniosek iż Księżniczka *Maryia Ludwika* nie bardzo sprzyia Kardynałowi iako temu który iéy zagroził drogę do dwóch tronów, iednego w istocie, drugiego w nadziei. Co do Panny *Matgorzaty La Fayette*, ta ma po sobie Króla w tak niewinnym sposobie iak kiedyś Panna *Hautefort*, a lubo przychylnością Królewską zaszczycona, przecież przez swoje skromne w takowem

położeniu zachowanie, wcale dobrze jest uważana od Królowy, *Anny* Rakuskiej, a tém samém równie iak wszyscy powiernicy téy Pani należy do liczby przeciwników Kardynała *Richelieu*. Potrzebie i nakoniec Pan *Margrabia Cinqmars* jest wprowadzie przyjacielem tego głośnego ministra, lecz też i u Króla ma laski, tak że iasnowidzący politycy rokuia między nim a iego protektorem smutny rozdział dobrego porozumienia, i lękaia się aby nie doznał losu *Karola Henryka Talleyrand* Księcia *de Chalais*. Sądźże teraz ile listy które wiesz do osób takowego znaczenia mogą usłużyć naszemu widokom, ale... ieżeli pójdiesz za moją radą." „Zobaczmy, odpowiedział młody szlachcic: a tym czasem co do listów, to ci muszę powiedzieć Panie Andrzeiu, że iak mi się widzi, ia pierwéy oddam moje, niżeli ty twoie."

IV.

POŚLANNICY KRÓLEWICZA W PARYŻU.

Dnia 13. Czerwca roku 1638. nasi trzék tak różnorodni podróżni przybyli do Paryża. Skoro, za skazówką Klary, stanęli w domu świętey pamięci czapnika przy ulicy *piekielnéy* gdzie wewłaszczaiący się Polak tymczasowe spadkobierstwo uwierzytnił; doszło ich wiedzy, że Kardynała nie masz w Paryżu, lecz że z *Gastonem d'Orleans* wyjechał do *Conflans* naprzeciw Cesarzkiego Jenerała *Jana von Werth*, który niedawno od *Bernharda* Księcia *Weymarskiego* poymany i do Francyi odesłany został. *Basio*, w skutku takowéy wiadomości, wydobył ze swego tlómczka duży puliares, długo przerzucał go i nakoniec znalazł w nim, że

w takim razie wypada mu się udać do Pana *des Noyers* ministra wojny, albowiem Pan *Bouthillier de Charigny*, który piastował Ministerstwo spraw zewnętrznych, nikogo, dla słabości swego zdrowia, nie przyjmował. Zeszło kilka dni, które nasz bohater na nudach, Włoch zaś na skreślaniu obszernych pamiętników i na patetyczno krasomowskich ćwiczeniach przepędzał, nim Kardynał powrócił z *Conflans*. Teraz więc posłannik Jana Kazimierza w towarzystwie swego przystawa, w krótkim mundur francuskiéy konnicy ubranego, długim pałaszem i ogromnym karabinem zbroynego, wybrał się pewnego poranku do ministra *des Noyers*.

Z natężoną uwagą wysłuchawszy Pan *des Noyers* piękney przemowy Andrzeia *Basio*; tak na nią odpowiedział:
* Jakkolwiek mowa twoia, Panie Sekretarzu, odznacza się gładkością i

zwięzłością; nie może przecież tyle na nas działać abyśmy okoliczność w mowie będącą mogli uważać ze stanowiska, z którego ją raczyłeś przedstawić. Nie masz nikogo w Europie, komuby nie było wiadomo ile Jego Mość Królewicz Polski iest życzliwy Rakuskiemu, a zawistny Francuskiemu dworowi. Sam Królewicz obiawił swój sposób myślenia, kiedy się znajdował nad Renem, kiedy wpływał na zawarcie pokoju Gdańskiego, i kiedy dwukrotnie odwiedzał Cesarza w Wiedniu. Co mi obiawili ci którzy dość skrzętnie dostarczają nam nowin; to ia tobie Panie Sekretarzu, ieżelibys ieszcze o tém nie wiedział, muszę obiawić, że podczas ostatniego zjazdu, który się odbył w Budzie w Węgrzech dnia 8. Lutego, roku bieżącego, po południu o godzinie 4. w obecności Arcyksiężniczki *Kludy* i Hrabiego *Khevenhüller* w sali zielonem aksamitnem obiciem i dębową

posadzką wybitę, podróż Królewicza do Hiszpanii uchwalona została. Nie potrafiłbyś także mocą twojej wymowy osłabić następujących czynów: naprzód, Jego Królewiczowska Mość został mianowany Wicekrólem Portugalii; powtóre, w kancelaryi stanu w Madrycie, patent na Admirała floty Jego Katolickiej Królewskiej Mości jest wygotowany dla JMci Królewicza Polskiego. Nie możesz tedy Panie Sekretarzu za złe poczytać koronie francuskiej, że ona w zbiegu takowych okoliczności nie dobrze to widziała gdy wasz Królewicz z pilną uwagą rozpatrywał się w portach *Saint Tropez*, *Toulon*, *Saint Turpin* i *Marsylii*, że taki przegląd, w chwili politycznego dwoyga państw zwaśnienia za niebezpieczny dla siebie uznała, i dla tego przytrzymanie osoby Królewicza za słuszne i potrzebne uznała.* Króćcy i dobitniej niż zwyczajnie zbil bezza-

sadność takowych zarzutów Andrzej Basio, i namienił o listach do Króla, do Kardynała i do Ojca Jozefa: po czem Minister, odprowadzając go do drzwi, w tych słowach przemówił. „Z boleścią serca wyznać Ci muszę Panie Sekretarzu iż to com powiedział, nie z mego własnego natchnienia lecz ze sposobu widzenia Kardynała i Pana *Charigny* pochodzi. Z resztą, znajduie się pierwszy w *Ruel*, gdzie i Ojca Jozefa zastać możesz, a ja przyłożę starania, abyś u obudwóch posłuchanie otrzymał.”

Gdy dwaj dworzanie Jana Kazimierza wychodzili z domu Pana *des Noyers*; zaszedł im drogę ieden z niższych urzędników, wziął na stronę mniemanego przewrotnego przystawa i mocno mu zalecił, aby aż do dalszych reskazów nie spuszczał Włocha z oka.

W bardzo złym humorze powrócili dworzanie Jana Kazimierza na ulicę

piekielną: *Basio* ciągle mruczał, a *O-packi* nie mógł się wstrzymać od głośnych wybuchów niecierpliwości. *Niderlandczyk Bassanet* był wyprawiony na zwiady. Nie mały czas upłynął nim po mnogich korowodach zapowiedziano Panu Andrzejowi *Basio* że mu wolno w towarzystwie swojego przystawa udać się do *Ruel*, gdzie go *Oyciec Jozef du Tremblay* oczekuje.

Gdy *Basio* ze swym przystawem przybył na dziedziniec pałacu z którego *Richelieu*, dłonią śmiałą i pewną trzęsając losami ówczesnej Europy, w pozornem ustroniu nawet dla pierwszych w kraiu osób nieprzystępny, rozselał swoje tajemnicze wyroki; wyszedł naprzeciw nich jakiś człowiek i wezwanych skinieniem aby szli za nim, poprowadził przez puste sale i ciemne chodniki aż przed mały pokój, gdzie pode drzwiami zatrzymał się, poło-

żył palec na ustach i zostawił samych. Tu wszedł Andrzej *Basio* a Polak w sposobie stójki został przed uchylonemi drzwiami. Seiany pokoju były otaflowane brązowo cedrowem drzewem, i przyozdobione obrazami religijnymi najsławniejszych włoskich malarzy. Jedyne, aksamitem powleczone, krzesło stało przed zapelnionym papierami i mappami stołem. Lewą ścianę pokoju tworzył wielki niezupełnie dosięgający sufitu dywan, przez który z przypiera-jącego pokoju przedzierał się połysk pa-iąków i gerydonów, zalatał zapach wonnych kadzideł i dawały się sły-zyć nieiednostayne po miękkich kó-biercach stapania. W głębi pokoiku wi-siała długa kołysząca się zasłona z po-za której przezierał, obrazkami i zło-temi naczyniami ozdobny, przybytek. U stóp ołtarza klęczała rozpamiętywaią-ca modlącą się osoba. Długo czekał *Basio* nim ona powstała. W końcu wyszedł

z po za zasłony człowiek niski, urodzony, osiwiasty, podgłębiony, w brązowym kapucyńskim z cienkiego sukna habicie. Uderzające rysy odznaczały jego oblicze. Na jego ustach igrał uśmiech, a w tym malował się wyraz dobroćliwości: jego oczy zwrócone na agatowy rożaniec, który w palcach przesuwiał, tylko się czasem wznosiły rzucając szybkie, strzeliste weyrzenia. „A! to Pan Sekretarz Basio: przemówił Staruszek cichym uprzymym głosem. Skądże mi ten zaszczyt, że Cię w moiemy skromny celi oglądam?” Włoch zaś przystąpiwszy do Oycy Józefa pocałował go w szkaplerz, podał mu opieczętowany papier, i w tych słowach przemówił: „Do ciebie, wielbny Oycze! który w twych ręku piasuiesz serce Królewskie i, uposażony wysokimi przymioty, iesteś sługą iedności i pokoju, do Ciebie mówię przysła mnie Królewicz Polski z prośbą,

abyś twoiemy przyczyny za Nayiaśnieyszą krwią wiekopomney pamięci Zygmunta III. niegdyś Polskiego, Szwedzkiego, Gockiego i Wandalskiego Króla, nie raczył odmawiać.” „Mów nieco głośniey, iakeś łaskaw, rzekł Oyciec Józef, rzuciwszy szybkie weyrzenie na Basiusa: bo Starość nieco mi słuch przytępila.” Basius zaś, wzmocnionym głosem dokończywszy swoiemy przemowy, oddał Oycu Józefowi list Królewicza osnowy następuiącý.

** Przewielebny w Bogu Oycze!*

Przez Pana Andrzeia Basio moięgo Sekretarza, donoszę Jego Arcychrześciańskię Królewskię Mości, i Jego Eminencyi Kardynałowi Richelieu iako na dniu 9 Maia, szukaiąc schronienia przed burzą zawinąłem do portu Baccarent leżącego w zatoce Beere, lecz że tam, przez wymierzone na mój statek działa z zamku La tour de bouc,

byłem przymuszony wysiąść na ląd i
nayniegodziwszego ze mną obéyscia się
doznać. Spomniawszy na przyiaźń, któ-
ra nieprzerwanie trwała i dotąd trwa
między Nayiasnieyszym Królem Fran-
cyi i Nawarry i Nayiasnieyszym Kró-
lem Polskim i Szwedzkim, moim Pa-
nem i Bratem, głęboko mnie dotknęło
i niepomału zadziwilo takowe nigdy
niestychane ze mną postąpienie. Byłem
pewny że w państwach Arcychrześcijań-
skiego Króla, doznam tak gościnnego
przyjęcia iakiego poddani Jego w Pol-
sce bez żadnych zawań doznają. Gale-
ra Nayiasnieyszey Rzeczypospolitey
Genuenskiéy na której się znaydowa-
łem, iest bez wątpienia statkiem są-
siedzkiego, z Francyją sprzymierzonego
państwa, które w niczém nie uchybiło
zwyczajowi i prawu narodów. Prze-
cież bez żadnych powodów, dopuszczo-
no się przeciwko moięy osobie i służbie
nayszkaradnieyszego gwałtu. Uwłó-

czyłbym godności którą mnie prawem u-
rodzenia przyodziła Boska Opatrzność,
gdybym się dłużej nad tą okoliczno-
ścią rozwodził. Szczegóły opowie Ci
Oycze, Pan Andrzej Basio mój Se-
kretarz. Jestem pewny że Wasza Prze-
wielebność dobrze rozważywszy istotę
czynu, nie będziesz chciał należyć do
przedtłużenia przykrości, iakich dozna-
ie syn, brat i wnuk Królów, że ow-
szem niezwłocznie raczysz się przy-
łożyć aby one wzięły spieszny i po-
żądany koniec. Tą pocieszając się na-
dzieją proszę Boga, aby Cię Oycze miał
w swoięy świętęy opiece. Dan w pała-
cu Arcybiskupa d'Arles w mieście Salon
dnia 28 Maia, roku zbawienia 1638.

Jan Kazimierz Królewicz.*

Oyciec Jozef, w głos czytając ten list,
często to poruszaniem głowy, to wzno-
szeniem oczu lub rąk, to marszczeniem
czoła, dawał znaki zadziwienia i nie-

ukontentowania. Doczytawszy; złożył go, przycisnął kilka razy do ust, spuścił oczy, i nic nie mówiąc dumał. Po chwili milczenia zabrał głos Andrzej *Basio* i z właściwą sobie wymową wystawiwszy przykrości i utrapienia Królewicza, zakończył prośbą, aby przewielebny Oyciec raczył serce Króla i Kardynała do szanowania praw Królów i ludzkości naklonić. „Gdy się to działo coś mi opowiedział Panie Sekretarzu, rzekł Oyciec Józef zdobywając się na głos który nadwątlila starość, mnie ręka Wszechmocnego nawiedziła ciężką chorobą i postawiła w nieemożności abym iakikolwiek udział, biednemu i pokornemu zakonnikowi przyzwoity, miał w ważnych sprawach i stosunkach Monarchów i innych znakomitych osób Europy. Gdyby nie to dopuszczenie nieba, byłbym, wierzący mi Panie, starał się tak wielkiemu złemu o tyle zapobiedz, o ileby dozwoliły

siły i rostopność słabego narzędzia. Co jednak już się stało przez zrządzenie Naywyższego, to trudno cofnąć: bo iestże człowiek któryby się oparł Jego świętęj woli? Niech mnie Bóg ucho-
wa abym miał niepamiętać łask, których w moiej drobnocie i w moiem orderwaniu się od świata, doznałem od Nayiaśniejszego Króla Zygmunta, tego obrońcy wiary przeciw Machomekańskim opryszkom i niezachwianego heretyków pogromcy, tudzież od Nayiaśniejszego Władysława, godnego na tyle wslawiony tron oycowski następcy. Przyłożę więc starania aby przykrości Jego Królewiczowskię Mości wzięły pożądaný koniec, tymczasem zaś, aby iego uwięzienie, ile to być może, było złagodzone.”* Na te słowa, kolatanie iakby z uderzania w stół pochodzące, kilka ciężkich stąpnień i głos osobliwy dały się słyszyć za dywanową ścianą: po czem Oyciec Józef tak

dalej mówił: „Jednakowoż kochany Panie Sekretarzu, nie wiele buduy na słabym wpływie nayniższego ze sług Bożych, bo losy głów Książących są w ręku silniejszych niż moje.” Gdy Basio, znowu się uniżenie skłoniwszy, całował szkaplerz pokornego zakonnika, któremu nieieden daleko możniejszy podobną cześć oddawał; Oyciec Jozef postrzegł Polaka u drzwi stojącego i rzekł: „A to co za ieden?” „Jest to, odpowiedział Andrzej, mój przystaw, którego mi w nieocenionéy swoiéy o mnie pieczołowitości dodał Hrabia *Valois* abym nie zbłądził ani w prawo, ani w lewo: a właściwiéy mówiąc, iest to strażnik moiéy mizernéy osoby.” Na te słowa rozlał się lekki uśmiech po marszkowatém obliczu *Oyca du Tremblay* a iego bystre weyrzenie padło na woyskowego: poczem rzekł tenże Oyciec: „Panie Sekretarzu, ty wcale nie potrzebuiesz takich przysta-

wów: niech więc młody kawaler zeydzie ze stóyki, tobie zaś Panie *Basio*, lubo nie iesteś uwierzytelnionym Posłem, ale tylko posłannikiem znakomitego Książęcia, wypada mieć honorową przystawę. Polecę tedy Panu *Charvigny*, a raczéy będę pokornie prosił Kardynała aby mu polecił, iżby Ci dodał towarzysza rzędu wyższego i którego assystencyia byłaby ci i znośniejsza i przyzwoitsza, niż ta z którąś mnie nawiedził. Nie omieszkam także, dodał żegnaiącym iestem, przelożyć Jego Eminencyi przy pierwszém sposobności sprawę Królewicza a tym czasem wznosić za niego moje modły do Boga.”

„*In magnis voluisse sat est* (w wielkich rzeczach samo chcieć iest dosyć) powtarzał markotny Włoch, gdy on i Opacki powrócili między ustronne mury swojego mieszkania. Już tedy masz odprawę z twego strażnikostwa Wiel-

możny Panie Kasztelanicu: probujże teraz komu czyia czynność lepię się powieździe czy mnie, czy tobie: a ty Panie Bazyli *Bassanet* kiedyś już tak długo napróżno ubijał bruk paryski, nadstawiając twoię wdzięczną ale nam nie bardzo przydatną figurę; musisz, nim ia dostanę straż honorową, wybrać się do Warszawy, i jeszcze dzisiejszego wieczora wyruszyć w drogę, abyś u podnóża tronu Jego Królewskiéy Mości złożył listy które ci myślę powierzyć." Gdy Niderlandczyk wyszedł ze stancyi; Andrzej *Basio* tak dalej mówił: „Tu się nie obejdzie bez wpływu Królewskiego. Ja ze słów pokornego zakonika, który się kiedyś chwalił iż w swój kaptur schował od razu trzy korony i siedem mitr Książęcych, tyle tylko mogłem wyczerpnąć ze mój czas i trud są stracone. Ale niebo obdarzyło mnie nie lada poreyją wytrwałości: i ci Panowie nie tak prędko iak się im wi-

dzi pozbęda się Andrzeia *Basio* który słuchał nauk politycznych w Padwie, miéysu swojego urodzenia. Oni go rano, w południe i wieczór póty widzieć będą póki albo Jana Kazimierza nie wypuszczą z więzienia, albo Andrzeia *Basio* do niego nie wtrąca: co przecieź byłoby wcale nieformalnem bezprawiem.

Nazajutrz stanął Samuel *Opacki* na ulicy świętego Tomasza *de Louvre* przed Królewskimi stayniami. Stąd przedszedłszy dwa dziedzińce, był przez odźwiernego Palacu *Louvre* doprowadzony do bocznego skrzydła, gdzie wszedłszy po małych krętych schodach, ujrzał szereg spaniałych pokoiów Margrabiego *Cinqmars*, Wielkiego Koniuszego Francyi. Roie w galony i wstęgi przystroionéy liberyi otoczyły wchodzącego, pytając coby miał za interes do *Monsieur le Grand*. Jeden z nich

wystąpił ku niemu i zaprowadził go do pokoju, którego opis nie będzie zapewne obojętny dla czytelników, chcących wiedzieć iak też mieszkał pierwszy w owych czasach elegant Paryski. Główny pokój był zbudowany w ośmiościan. Pięć ścian były okryte dywanami, w ramy materiałem i złotem ciężkie oprawionemi, na których w iaskrawych kolorach odbijały główne z przeobrażeń Owidyusza sceny. W szóstej drzwiom przeciwnéj ścianie wznosiło się wysokie i szerokie okno: na pobocznój mu połączanéj sztukatoryi były powyrabiane herby Francyi i Nawarry, od góry zaś spadały sutofaldziste z ciemno żółtego aksamitu opony. Po prawéj stronie okna stał na wysokim postumencie brązowy wizerunek Ludwika trzynastego pod którym spinał się koń deptać nogami kulące się bezeczne, zazdrości intrygi i irreligii poczwy, a ta ostatna była przybrana

w togę i kolnierz Kacerskiego Kaznodziei. Po lewéj stronie stała wielka szerosrebrna, ztotemi naczyniami zastawiona, gotowalnia; mnóstwem powiedłych kwiatów, pomietych fontazików, rosproszonych liścików, madygałów i różnych owego wieku poetycznych igraszek zarzucona, obok zaś niéy na podłodze leżała książka wielkiego formatu w zielono aksamitnéj oprawie z wybitym na grzbiecie napisem *Oeuvres de Pierre Corneille*. Na dwóch innych ścianach wisiały ogromne z weneckiego szkła w miedzianych i posrebrzanych ramach zwierciadła, a około nich w czterech rzędach popiersia kobiet, częścią odkryte, częścią zielonemi ugalonowanemi półfirankami zasłonięte. Na suficie niedość lekka ręka iakiegoś malarza, usadowiła Jutrzenkę z poszóstnéj normandzkiéj spręży powożącą. W utrefionych włosach téy Bogini świtu błyszczała bogato wyzłocona

korona: iéy przestronna buchasta szata miała podobieństwo ówczesnéy rogówki a iéy wyciągnięta prawica utrzymywała mały ale grubo srebrzysty świecznik. Pod tym świecznikiem stał okrągły stolik, na którym para wielkich rękawic, mała szpada i kapelusz mnóstwem szkarłatnych wstążek i wodno błękitnych strusich piór stroiny, leżały. Przed iedném ze zwierciadeł stał Pan *Cinqmars* zaięty ułożeniem swoich fałdkowanych gorsów. Pokóy był pełen duszących kadzidlanych woni. „Któż iesteś przyjacielu?” pieszczanie przebąknął zaięty sobą Jegomość, na pół obróciwszy się do wchodzącego. „Jestem *Błażéy Maguiret Auvergnak* z Klermontu do usług pańskich,” odpowiedział zapytany. „Bardzo dobrze: rzekł Wielki Koniuszy idąc do gotowalni, gdzie iął bobrować między powiędłemi bukietami, z ich stosu wywłóczyć złotokwiaty i szarłatki i przez pół

wtykać ie za obcisły fraczek. A iakież to szczęście przywiodło do mnie Pana *Błażeia Ma-gueron* z Klermontu?” „Mam list do Wielmożnego Pana,” odpowiedział Błażéy. „Widzisz mój przyjacielu żem zatrudniony, rzekł znowu Pan *Cinqmars*, i w tem popchnął nogą tragedye Kornela pod gotowalnię, pochwycił ieden z madrygalów i zaczął go przezierać. Jeżeli tedy nie masz bardzo pilnego interesu, to przyydz w innym czasie. Ale od kogóż masz list?” zapytał głośniey i zmarszczywszy czoło kiedy widział że dana gościowi odprawa nie wiele skutkowała. „Od pewnéy damy, łaskawy Panie.” „Od damy? powtórzył *Cinqmars* w rostargnieniu: to udayże się do Bailleta mego pokoiowego i odday mu list: albo z resztą... day mi go.” To mówiąc odebrał pismo z rąk Opackiego i, nie spoyrzawszy na nie, rzucił ie na stós papierów. Młody szlachcic, który ieszcze nie dość miał

wprawy w udawaniu swéy rolly przed francuskim magnatem, uczuł teraz ile mu uwłaczało takowe przyięcie, i przemówił z mocą i wzruszeniem. „Jakaż więc odpowiedź, Panie *Cinqmars*, mam ponieść Hrabinie *Valois*?” „Co? Hrabinie *Valois*! przerwał mu Koniuszy tak mocno wyląkszy się że mu madygał z ręki wypadł, pod stół uleciał i tam obok wielkiego Kornela zaległ. Ach, Hrabina *Valois*! powtórzył *Cinqmars*, z pośpiechem porywając list i odrywając pieczęć. Ciszéy, ciszéy, mój przyiacielu, nie mów tak głośno: Spodziewam się żeś przecie nikomu o twoim posłannictwie nie powiadał.” To rzekłszy, zaczął czytać list, potem włożył przeczytany do szafki murowéy posągiem Króla Ludwika zastawionéy, i obróciwszy się do Kasztelanica tak daléy mówił. „To tedy iesteś posłańcem Hrabiny *Valois*? Zapomniałem iak ci na imie mój przyiacielu.” „Nazy-

wam się *Błażéy Maguiret*,” rad nie rad znowu powtórzył Opacki zmyślone swoje nazwisko. „A iakimże sposobem pozyskałeś względy Hrabiny *Valois*?” „Jestem ze straży prewotalnéy Gubernatora Prowancyi, była odpowiedź Opackiego, i dla tego odstawił mnie do przeprowadzenia Sekretarza Królewicza Polskiego z miasta *Aix* do Paryża.” „Doprawdy? zawołał zdziwiony Pan *Cinqmars*. To więc iesteś z *Auvergne*? z Klermontu w *Auvergne*! kiedy tak, to zapewne będziesz mi mógł dać wiadomość o moim szwagrze Wicehrabim *Cavaillon* który tam piastuje urząd Kommissarza Królewskiego. Czy znasz go?” „Tak iest, znam go,” po chwili namysłu odpowiedział Polak. „A iakżeś dawno, Mości Panie Błażeiu Maguiret, opuścił miéysce rodzinne?” „Jest temu sześć miesięcy:” ochoczo, bo już bez obrazy prawdy, odpowiedział Opacki. „Sześć miesięcy?

zastanowiwszy się powtórzył Pan *Cinqmars*. Ja rozumiałem że mi podasz świeższą datę, bo temu dopiero dwa miesiące iak Pan *Cavaillon* był z pożegnaniem u Króla Jegomości w *Saint Germain*. Ale mniejsza o to: znasz zapewne dobrze kąty swoihey oyczyzny, a zatem czybys mnie nie mógł wiedney rzeczy objaśnić? Oto myślę niezadługo wyiechać do moihey siostry, Pani *de Cavaillon*, a przytem, ieżeli będzie pora po temu, zwiedzić sławne góry wyższey *Auternii*. Powiedz mi tedy któredy mam powracać, z *Puy de Dôme* do Paryża? Tu wstyd i pomieszanie ubodly młodego szlachcica, który, chociaż w czuciu i przekonaniu czerpał pociechę poświęcenia się chwalebmemu czynowi, teraz się uyrzał w skórze winowaycy. Jaskrawy pons wystąpił na iego lica, ścięły mu się usta, kolek stanęły oczy. Nie mógł tego nie widzieć Wielki Koniuszy. „Móy przyia-

cielu, byly iego słowa, kiedys tyle świadom twoihey rodzinney ziemi; więc ci muszę przypomnieć że ona nie iest oyczyną aniołów, abys się nie dziwił gdy cię każę przytrzymać iako oszusta.” To powiedziawszy poszedł *Cinqmars* ku drzwiom, ale Polak któremu wstyd i groźba wnet przywróciły odwagę, zabiegł mu i ściągając rękę do korda, głosem tłumionym lecz rozmysłu pełnym rzekł: „Nie iestem oszustem i nie dam się przytrzymać: powiadam to na Boga, na świętego Stanisława i na tę moię broń.” „Któż więc iestes,” zapytał Margrabia cofając się i chwiejąc. „Zaraz ci powiem, wrzasnął rozjątrzony szlachcic, kto iestem: abys dluzey twoią obelgą nie podawał moihey cierpliwości na próbę. Jestem ci równy urodzeniem i znaczeniem: iestem syn Senatora, czyli waszym ięzykiem mówiąc, *Para* Polskiego; iestem, iednem słowem szlachcic. Przy-

znaię się do tego, bom nie rozumiał iż się spodłę kiedy przez gorliwość w służbie mego Pana chwyć się niezwyklego sobie przebiegu, kiedy wdzieję ten nienawistny mundur, i pod cudzoziemską barwą wieść będę niebezpieczną walkę za najsświętszą mojej Ojczyzny sprawę. Nim tedy wydasz mnie przed Królem i Kardynałem, pierwéy musisz się ze mną rozprawić za wyrządzoną mi obelgę.” „Dla Boga, mój Panie, nie mówże tak głośno, rzekł Pan *Cinqmars* kiedy już z jego liców po takim wybuchu Polaka zeszły ślady uniesienia. Jesteś tedy z poczetu Królewicza Polskiego? uspokój się mój Panie i bądź pewny że jeśli w rzeczy saméy iesteś tym za którego się wydaiesz; to nie znaydziesz zdrajcy w Margrabim *Cinqmars*. Wybacz tylko że cię o dowody prosić muszę.” „Dla czegożbym nie mógł ich złożyć; odpowiedział Polak nieco łagodniéy. Ja prawdy nie zaprę

a ty Panie Margrabio, przekonasz się że ią mam po sobie.” To mówiąc wyjął z zanadru bogato złotem i perłami haftowany puliares, w którym się znaydowały różne listy a między innemi list Kardynała, protektora Polski w Rzymie, łacińskim ięzykiem pisany do Wielmożnego *Samuela Opackiego*, Starosty Połonieckiego, Podstolica Koronnego, Kasztelanica Sandomierskiego, z miniaturą *Ferdynanda II.* Cesarza w pierścieniu diamentowym którym go Cesarz, w czasie bytności Królewicza w Stolicy Węgier, udarował. Bacznem okiem poprzezierał Wielki Koniuszy puliares i notatki Opackiego, potem mu ie z uprzejmością oddał i nakoniec rzekł: „wybacz mi przez wzgląd na stosunki w iakich zostaie, i na okoliczności które towarzyszyły twojemu w mój dom wstępowi, żem cię wziął za kogo innego. Spodziewam się iż poprzestaniesz na tém zapewnieniu,

że moja prędkość doięła tylko *Bla-
zeia Maguiret*, a nie Kasztelanica San-
domierskiego i że za wysoko sobie ce-
nię twój prawy sposób myślenia i two-
ię rycerską wiarę, abym miał nadużyć
twego zaufania i niebyć ci użytecznym
w twoim zamiarze.” Odtąd wsczęła się
między obudwoma poufała rozmowa.

Pan Cinqmars unosił się nad śmia-
łym zapędem młodzieńca i iego goto-
wością położenia życia za zdrowie Pa-
na swojego, i tak dalej mówił: „Nie
będę ci tań, co wie dwór a nawet świat
cały, że to Kardynał wyniósł mnie na
szczebel godności na którym mnie w tak
młodym wieku oglądasz. Jestem mu
za to wdzięczny, ale byłbym mu ie-
sche wdzięczniejszy gdyby nie żądał
abym był martwą iego woli łatką, któ-
raby nie inaczej i nie w innym czasie
ręką lub nogą ruszała tylko tak i w ten
czas iak i kiedy iemu się podoba. Każ-

dy ma przecie swoje zdanie. Tobie,
który nie iesteś przyjacielem Richelieu-
go i nim być nie potrzebuiesz, przy-
znam się że iakkolwiek iest on wiel-
kim i wytrawionym politykiem; wsze-
lako ia w wielu rzeczach nie dzielę ie-
go zdania. Niechby z rachuby polity-
cznéy, iako nad związki pokrewień-
stwa silniejszéz, niechby z korzystnych
widoków ministra wypadła potrzeba
woyny między Francją i Hiszpanią,
o czém nie tak łatwo możnaby wyro-
kować; to przecież takowe rachuby i
takowe widoki nie usprawiedliwiłyby
osobistéz nienawiści, iakiéy nawet w
murach Luwru smutne i wielkie mamy
przykłady, i iaka na osobę Jana Kazi-
mierza wywarta póydzie na długi re-
iestr tych żalosnych bezprawiów któ-
re w oczach świata i potomności kazić
będą panowanie syna Henryka Wiel-
kiego. Oto, stąd niedaleko od nas żyje
dostojna męczenniczka téy nieużytéy

polityki, a cios który się miał zwalić na głowę kuzyna, teraz ięć zagraża. Nie napróżno usiłowałem podbić zaufanie Monarchy, nie napróżno oczekiwała Królowa abym odzyskał dla nięć zobojętnione serce Małżonka. Już wiele i bardzo wiele dokazałem. Za kilka miesięcy powita Francya drogi, z nieba zesłany, owoc błogiego zespolenia które po wielu trudach, po długoletnym obojga Nayiaśniejszych małżonków rozdziale, wkońcu skojarzyłem. (*) Ow tedy cios będzie od nięć odwrócony. Nie splamią już karty dzieiów owe szkaradne zbrodnie na które wzdryga się ludzkość i których zgubny wpływ, bez tego błogiego wypadku, ieszczeby nie był wstrzymany." Gdy to mówił Wielki Koniuszy; rumieniec zastąpił ziego liców, a on zdawał się

(*) Urodziny Ludwika XIV. dnia 5 Września 1638.

wieśdź wewnętrzną walkę z iakiemś smutnem przecuciem. Po nieiakięć pauzie tak znowu dalej mówił. „Powiedziałeś mi Panie Opacki że masz listy do Księżniczki Mantuańskięć i do Panny *La Fayette*. Przyznam ci się iż myślę nad tém iakbym mógł być twoim pośrednikiem u pierwszēć. Mnie bowiem nie wypada wchodzić w stosunki z osobą która iest w widocznēć u Króla niełasce, co się zaś tyczy Panny *La Fayette*, tedy zechciēć mi list poruczyć i być pewnym, że go wierne do ięć własnych rąk oddam. Ale, mówił znowu po krótkim namysle zwracaiąc podany sobie bilet, możeby lepiēć było gdybyś go sam oddał. Położenie Panny *Lafayette* u dworu, lubo drażliwe dla tego że w równych łaskach tak u Króla iak u Królowy zостаie (sczęście którego Panna *de Hautefort* nie doznała), może się wiele przyłożyć do dopięcia co sobie zamie-

rasz, i przeto radzę ci abyś sam osobiście złożył ię twoje holdy: wszakże u dworu, podobnie jak w świątyni losów, jedna chwila wiele stanowi. A teraz Panie Kasztelanicu, powróć do twojej stancyi, o dziewiętej zaś godzinie wieczór znowu do mnie w to miejsce przybywaj z przekonaniem że rycerska młodzież a zatem i Samuel Opacki znajdzie przyjaciela w Wielkim Koniuszym Francyi."

Uradowany tyle zaspokoiającem hazardownej sceny rozwiązaniem powrócił Kasztelanic do Włocha, i opowiedział mu wszystko co między nim a Panem *Cinqmars* zaszło. Oslupiał zrazu *Basio*, potem wznosił ręce ku niebu a nareszcie zaczął się rozszerzać nad nieprzezornością człowieka który nie nauczysz się na pamięć wszystkich miejsc i ścieżek obcego kraju, śmie udawać że jest rodem z niego. Tę tak

plodną materią nie omieszkał poprzeć powagą katedr Uniwersytetu Padewskiego w którym słuchał kursów *juris publici* i zwrócić ją do naganionego przez siebie zuchwalstwa, iakiego Opacki dopuścił się względem wielkiego Koniuszego Francyi we własnych tego Pana pokojach. Ale powoli wypogodziło się oblicze surowego przestrzegacza, zwłaszcza kiedy z kolei zaczął się rozwodzić nad szczęśliwem sceny rozwiązaniem a następnie że Sekretarz Jana Kazimierza nie pomylił się w rachubie stosunków Wielkiego Koniuszego Francyi. Naostatek wyniósłszy pod niebiosą nauki polityczne i dyplomatyczne, i tak, z entuzjazmem wielkości ulubionego przedmiotu odpowiadającym, przebiegłszy wszystkie odnogi niewyczerpanej chryi; zasiadł do swego puliaresu i w nim zaczął odczytywać dawniejsze a zapisywać nowe Komentarze. Zbliżył się wieczór i nie było widać towa-

rzysza którego Pan *Chavigny* miał przydać posłannikowi Jana Kazimierza; przez co zdawało się że Andrzej *Basio* samemu sobie będzie zostawiony.

Wybiła dziewiąta godzina z południa, kiedy młody Starosta Poloniecki stanął w przedpokoju Wielkiego Koniuszego Francyi. Ale ten Pan ieselce bawił u Krola. Tu w nudnem oczekiwaniu, obsaczony dworską czeladzią, sparty o filar okienny, posłyszał Opacki głos dobrze mu znaiomy. „Dobry wieczór Mospanie *Anspeçade*!” były słowa powitania. Obeyrzał się Opacki i poznał mieszanina z *les Martigues*. Był to *Le Normand*: przystąpił on do Kasztelanica i tonem poufalości przemówił: „to tedy przybyłeś do Paryża z twoim towarzyszem. O! musiał też cię wynudzić ten głęboko myślący polityk: a co gorsza, że przy tych sknerach Włochach tak walny iak ty kapral z przewotalnój

straży i gardła nie odwilży i oka nie zamknie i ieszcze nagniewać się musi. Jest ci teraz czego powinszować żeś już przecie pozbył się tego uczonego nudziarza, iak to wiem od Pana *Chavigny*, lubo nie myślę abys tak prędko był zupełnie wolny, skoro mu pozwolą bawić póty w Paryżu póki się samemu nie zażąda odiechać skąd przyiechał, do *Salon* albo do Polski. Ale ieżeli masz powrócić do swego korpusu; to iedźmy razem, bo ia właśnie wyieżdżam do *Aix*, stamtąd zaś pospieszę do *Avignon* z bardzo ważnemi poleceniami Jego Krolewskiej Mości, mnie przez organ Ministra poruczonymi.” „Radbym ci towarzyszył, odpowiedział Polak, ale iako żołnierz nie mogę bez rozkazu ruszyć się z miejsca: z resztą nie zdaie mi się abym mógł ci być przydatny do załatwienia twoich ważnych czynności,” „Prawda, że mnie nie lada czynnością obarczono, tonem zarozu-

miałości i jakim się odznaczają samowolnych nakazów służalcy, rzekł Prowansal: oto w *Arignon* spodziewamy się dużego ruchu, i dla tego byłby mi bardzo poręczny tak lepski iak ty adiutant, tym bardziéy że nie wątpię iż posiadasz zaufanie Pana *de Chantereine* kiedy ciebie dał na przystawa Włochowi. Wszak musisz wiedzieć że iuż zapadło aby dwór Królewicza”..... Właśnie kiedy *Le Normand* wymawiał te słowa, głośny rozhovor obił się o drzwi przedpokoju. *Le Normand* uciał peryjód swéy mowy, obecni stanęli rzędem podle ścian przedpokoju, drzwi się otworzyły, uyrzano liberyją z zapalonymi pochodniami w ręku, wszel wielki koniuszy Francyi. Przybycie Pana *Cinqmars*, iakkolwiek z utęsknieniem przez Opackiego oczekiwane, połamalo mu szyki: bo gdyby o minutę tylko było spóźnione; *Le Normand* pewnie z czémś bardzo ciekawem byłby się wygadał

przed posłannikiem Jana Kazimierza. Szybkim krokiem przechodząc Wielki Koniuszy, postrzegł tego z którym rano był się poznał i tonem Pańskim zawołał: „Héy! człowiek Hrabiego *Valois*.” Samuel Opacki, lubo uderzony tak raziącą po uprzejmém ranném odprawie zmianą tonu swego protektora, udał się za nim w głąb iego pokoiów. Tam Pan *Cinqmars* wśród uniesień niepospolitéy radości, zadawał Opackiemu pytania bez liku i bez związku, naywięcéy zaś takie które się ściagały do dam Polskich i do obyczajów dworu Warszawskiego, a ile razy drugi zaczynał odpowiadać; pierwszy zawsze mu przerywał wykrzyknikami: wszakże zachwycony łaską iakiéy od Króla przed chwilą był doznał, zawsze do siebie zwracał mowę o kim innym wsczetą. W końcu poprawił na sobie ubranie, a postrzegszy że pogubił szarłatki które był przypiął idąc na pokoje Królew-

skie, pochwycił ze stosu bukietów wiązkę innych, przycisnął je do ust, zapelniał nimi miéysce które zawakowało po pierwszych, i dopiero wybiegł z protegowanym na korytarze Luvru, zmierzając niemi do mieszkania pewnéy znakomitéy damy. Wszedszy do przedpokoju któremu iedna lampa skąpego użyczała światła, zapytał Pan *Cinqmars* starego sługę o Pannę *Lafayette*, a odebrawszy odpowiedź do ucha; zastanowił się nieco, potem ostrzegł Opackiego że zabierze wielką i ważną znajomość, na koniec wszedł do pokoju z młodym Polakiem gdzie mu w bliskości drzwi kazał się zatrzymać.

Zajmująca to mieszkanie Panna *Lafayette* którą brunatna cera i urodziwa kibić odznaczały, po której rysach, bardziej miłych niż regularnych, nieco melancholiczny humor rozlał wdzięk czarujący, dzieliła towarzystwo z inną da-

mą dla której głębokie miała uszanowanie. Wzrost téy damy był więcéy niż średni: iéy postawa odznaczała się powagą, w iéy oczach, cudną zachwycających pięknoscia, z białoscia mieniła się czerwoność iakby od łez wylanych przed chwilą. Jéy iaskrawobrunatne gęste włosy były utrefione w pukle, a wśród nich nad czołem unosił się duży owalny, sznurkiem pereł przypasany kleynot. Jéy zachwycająca powierzchowność czyniła owo wrażenie, które doskonała piękność sprawić iest zdólna: iéy tylko nos nieco się wyciągnął, a iéy płeć nie dość była delikatna. Jéy usta oddychały ponętą, iéy ramiona i ręce były kształtne: kibici tylko z powodu brzemienności zdawało się niedostawać proporcji. Do tych dwóch dam z głębokim, uszanowania pełnym pokłonem zbliżył się Pan *Cinqmars*. Panna *Lafayette*, uyrzawszy go znie-nacka, głosem lekkiego przełknięcia

a pleci swoiemy właściwym, wykrzykla. Ach to Pan Cinqmars! Druga zaś dama, postąpiwszy naprzód, zapytała cóż tak pilnego Mospanie Margrabio przywiodło cię do nas o téj godzinie? czy nie iaki rozkaz Królewski? „Ja iestem tylko posłańcem, odpowiedział Pan Cinqmars koiąc słodyczą brzmienia pomieszanie dam: oto przynoszę Pannie *Lafayette* list od iéy przyjaciółki.” „A! musi to być iakieś ważne posłannictwo kiedy ie sam wielki Koniuszy sprawuie,” rzekła Małgorzata Lafayette. „Złożymy co mamy do rąk twoich Pani, ieżeli pozwolisz:” rzekł Pan Cinqmars i w tym samym czasie skinął na starostę Polonieckiego: ten zaś zbliżył się do damy i oddał iéy list który ona przyjęła z pytańcem spoyrzeniem. „Od Hrabiny *Valois*,” rzekł Opacki. „Ach! to od biednéy *Bouterille*, z powagą odezwiała się druga dama. Zobaczcie Pan- no Małgorzato co ona pisze, i powiedz

mi iak się ma.” Panna Lafayette wzięła się do czytania przy świetle pałaków; a tym czasem Wielki Koniuszy udzielił wielkiéy damie wiadomość która ią zgrozą przenikła. Po krótkiéy rozmowie, w czasie którój dama często spoglądała na młodego Polaka, Wielki Koniuszy w tych słowach odezwał się do niego: „Panie Kasztelanicu Sandomierski, Nayiasniéysza Pani, Królowa Francyi i Nawarry, zezwala abyś Jéy złożył hołd Twego uszanowania. Przybliż się proszę.” Grzecznie, ale iak na wolnego Polaka przystoi śmiało; z głębokim poklonem ale z rycerską miną, przystąpił młody szlachcic do Anny Rakuskiej. „Czy rzeczywiście, iak dopiero powiedział nam Wielki Koniuszy, zapytała Królowa, iestes Polskim szlachcicem z poczetu Królewicza Jana Kazimierza?” „Mój Oyciec, odpowiedział Opacki, iest Podstolim Koronnym Polskim, a ią pierwszym pokojowcem na dworze

Jana Kazimierza Wazy, Królewicza Polskiego i Szwedzkiego. „Jakże się więc ma nasz kuzyn? czyś go w dobrem zdrowiu odiechał?” „Nayiaśniejsza Pani! z westchnieniem odpowiedział Opacki, skrzydła orla białego są sparaliżowane: wsadzono go do klatki żelaznéj w Państwie którego korona spoczywa na głowie waszég Królewskiég Mości. Podwójny cios gnębi Królewicza Polskiego na ziemi francuskiég. Niesłusznie uwięziono go: i ieszcze dozor dostoinég Jego osoby poruczono zatwardziałemu oprawcy.” „Ach mój Boże! temi słowy pożałowania przerywała Królowa Opackiemu, i wnet zapytała go: a z iakiemże poleceniem przysła cię do mnie Królewicz lub Król Polski?” „Ani wiek ani zasługi nie u sposobiły mnie ieszcze, odpowiedział Opacki, abym przed Tobą Nayiaśniejsza Pani stawał w charakterze Posła Rzeczypospolitég Polskiég. Ten zaszczy-

tny stopień przystoi tylko moiemu Oycu i Jego spółtowarzyszom Woiewodom i Kasztelanom. Sam Bóg postawił mnie przed obliczem Waszég Królewskiég Mości: w Jego tylko imie przemawiam do Królowy Francuskiég, bo tylko w Jego imie łożę wysilenia ku uratowaniu niesłusznie prześladowanego Książęcia i ocaleniu honoru dynastji Wazów. Czyż serce Waszég Królewskiég Mości pod którem spoczywa nadzieia wielkiego ludu, czyż rodu Twoiego sprawiedliwa дума zdóła ścierpieć; ażeby w Państwie, którego korona wieńczy Twoje skronie, spełniano gwałt na osobie syna Królow a Waszég Królewskiég Mości Kuzyna? aby zuchwała podłych służalców swawola znieważała prawnuka po *Filipie* Burgundskim, Królu Kastylji, antenacie waszég Królewskiég Mości? Ta dobroć i łaskawość któremi Cię Stwórca obdarzył, które w Twég Królewskiég osobie z mądro-

ścią duszy i z pięknnością ciała ziedno-
czył, są rękoiymią pożądanego skutku
twoięy Nayiaśnięysza Pani przyczyny
za znieważonym Twoim plemienni-
kiem: skłonięnia Arcychrześciiańskie-
go Króla do surowego zakazu aby na
krwi Królewskięy nie obrażano maie-
statu tronów, i zapobiężenia aby przy-
domku *Sprawiedliwy*, który Ludwiko-
wi XIII. nadała kasta pochlebców, nie
odrzućila potomność."

"Przestań, przestań!" zawołała Kró-
lowa roniąc łzy; i zachwiana wspiera-
jąc się na ramieniu Panny *Lafayette*:
czem zmieszany Pan *Cinqmars* upo-
mniał Kasztelanica aby miarkował wy-
razy swego uniesienia bacząc na Kró-
lowy słabość w której gwałtowne
wzruszenia są niebezpieczne. „Ma po
sobie słusznosc Pan Margrabia, ode-
zwala się Małgorzata *Lafayette*, ale
też i Pan Kasztelanic powiedział praw-

dę. Wszakże sama Hrabina *Valois*, wli-
ście, który będę miała zaszczyt przeczy-
tać Waszëy Królewskięy Mości, uty-
skuie nad Królewiczem że się z nim po
portach i w *Salon* potyrańsku obcho-
dzono, wymawiając zaś męža swego
składa całą winę na rozkazy Kardyna-
ła do których Hrabia *Valois* musiał się
stósować." Na spomnienie tego człowie-
ka zimne mrowie przeszło po kościach
Anny Rakuskięy. Puściwszy z rąk Pan-
nę *Lafayette*, przeszła się Królowa po
pokoju, a potem spoczęła na krześle.
Na ięy obliczu malowała się boleść ko-
bięty z dumą Monarchyni. Jescze śle-
dziennictwo wieku, ieszcze chytrość po-
lityki Mazaryniego, nie zaraziły pod
ówczas serca Anny Rakuskięy. Późnięy
dopiero objawiły się na tęg Pani zgu-
bne wpływy czasu i ludzi, i uczyniły
ią głuchą na ięki ludów i na utyski-
wania rodziny. Dopóki zuchwalstwo
pierwszego ministra przewodziło przy

odrętwiałości Króla i małżonka, dopóty Anna iako znieważona Królowa francuska a Księżniczka Rakuska i Hiszpańska była przedmiotem miłości i uwielbiań ludu. Wszakże późniéj, poduszona przez Włocha, pokusiła się, lubo bezskutecznie, utwierdzić bezrząd którym się sama brzydziła, sama będąc jego ofiarą. Naydawniejszy tron Chrześcijaństwa napróżno byłby się uymował za znieważoną Anną w czasie w którym zwracamy na nią uwagę. Nie była to ieszcze Królowa Reientka z czasów *Frondy*, w których dobro ludu poświęciła przewrotnemu Mazaryniemu, ale tylko nieszczęśliwa małżonka Ludwika XIII. której własny poddany groził wyrugowaniem z mieszkania Królow i wtrąceniem między mury klasztoru, której charakter iako przyszłej matki Delfina nie wiele wpływał na zmniejszenie iéy utrapień, Pani równie swoim nieszczęściem iak swo-

ią pięknoscią zniewalająca serca, nie przez iednego bohatera w cichości i bez nadziei ubóstwiana. Taką była Anna pod czas uwięzienia na ziemi francuskiej Jana Kazimierza Królewicza Polskiego. Miotana dwoma sprzecznemi z sobą uczuciami zniewagi i godności w tych słowach przemówiła do Opackiego. „Nie myśl szlachetny Panie abyś nas mógł urazić wynurzeniem prawdy. Lubię otwartość rycerzów poświęconych sprawie Króla swego. Zazdrościłabym nawet Monarsze którego tron tacy otaczają słudzy gdybym nie była przekonana że ieszcze i we Francyi znajduią się ludzie umiejący w Panuiącym cenić zasługi Ludwika świętego. Słusznie odwołałeś się do nas, żądając naszej Królewskiej protekcyi dla siebie a przyczyny dla Królewicza kuzy na naszego: słusznie miemałeś że podzielimy utrapienie Jana Kazimierza i że nas zgrozą przeniknie zuchwała

Jego więźownika swawola. Spowszedniały już wprawdzie besprawia tego rodzaju; lecz, co do nas, nie przytępiły w sercu naszym czucia prawości.” „Więc mi wolno zapewnić Pana mego o tak spaniałomyślnym a dla Niego względnym Waszój Królewskiej Mości sposobie myślenia? z uniżonością ale razem z żywością zapytał Opacki: i zapowiedzieć Mu że promyk upragnionego światła roziaśni Jego ciemnicę i rospędzi mary melancholii, w której zdać mu się że go coś strasznego potka nim pomoc lub późna zemsta nadejdzie z kraiów, kiedyś jego panowaniu mogących podlegać?” Po kilku chwilach namysłu w tych słowach odpowiedziała Anna: „iako Księżniczka dwóch dynastii i małżonka arcychrześcijańskiego Króla nie chciałabym zawczesnem zapewnieniem narażać mojej godności: mogę iednak tyle powiedzieć że z nadzieją powracać będziesz

do Królewicza Polskiego. Niech tylko Jego Królewiczowska Mość nie przypuszcza że już wszyscy Francuzi wyzuli się z uczuć czci i wiary, niech wierzy że Anna Rakuska jest Jego cierpien uczestniczką, i że on nie jest bez przyjaciół na obcej dla niego i niegościnnéj ziemi. Gdyby los Jana Kazimierza był w moim ręku, szczerze to powiadam, dziś ieszcze rozwarłyby się drzwi Jego tarasu: dziś ieszcze z honorami Jego wysokiemu stopniowi należnemi byłby przyięty w Luwrze, tym odwiecznym niefortunnych Książąt przytułku. Lecz, niestety! inaczej mają się rzeczy. Za słaba jest przyczyna Anny Rakuskiej aby mogła potargać więcej Królewicza Polskiego, chociaż Jey saméj nie jest tajno że na nią spada iey krewnemu a synowi Arcyksiężniczki wyrządzona obelga. Z tem wszystkiem zaręczam Ci moiem Królewskim słowem, że póki korona trzech

liliy wieńczyć będzie me skronie, póki mnie samą ostatny cios nie dotknie, dopóty ani hardy Richelieu ani żaden z jego siepaczków nie poważy się podnieść rękę na osobę i życie Jana Kazimierza; powiadam to i przyrzekam na ten drogi zakład który pod moim sercem spoczywa.” Wzruszony taką odpowiedzią Królowy, rzekł Opacki: „Nie mam wyrazów któremby mógł godnie podziękować Waszemu Królewskiemu Mości za wielkie słowo pocieszenia które każesz ponieść między mury uwięzionego syna Królow, i przekonać Cię Nayiaśnieyszą Pani ile pragnę aby Bóg zlewał na twą osobę swoje błogosławieństwa, aby u nóg twoich położył nieprzyjacioly twoie, a Ciebie samą wyniósł na szczyt chwały i szczęścia.” „Niktby się podobno nie znalazł, przydał Pan *Cinqmars*, kto by chętnie nie dźwigał okowów, gdyby miał to szczęście że jego dolegliwość tyleby ob-

chodziła Nayiaśnieyszą Panią ile ją obchodzi obecny los Jana Kazimierza.” „O! nie pragnij tego szczęścia, odpowiedziała Anna z wymuszonym uśmiechem: zapewnebyś inaczej myślał gdyby cię coś podobnego spotkało, a moia litość ku podźwignieniu cię z toni na nic ci się nie przydała. Panno Lafayette, mówiła dalej Królowa: już wiesz co się święci. Pamiętajże, proszę Cię, przełożyć wszystko Królowi przy pierwszej sposobności: a strzeż się żebyś tego zacnego kawalera na sztych nie podała. Powiedz także Królowi (te słowa silnieyszym głosem wymówiła) iaką za Królewicza Polskiego uczyniłam rękoiymią.” „A czyż słowo moje, z rumieńcem na licach i z pomieszaniem w oczach odpowiedziała Panna Lafayette, mogłoby skłonić Króla do tego o co Ty sama, Nayiaśnieysza Pani, dopomnieć się masz prawo? Z tem wszystkim, woli Pański, która jest dla

mnie roszkazem, stanie się z moiej strony zadosyć." „Czekay więc w Paryżu, rzekła do Opakiego Królowa, póki *Gabinet Saint Germain* nie odpowie na odezwę Królewicza Polskiego, iak zaś odpowie dowiesz się od Wielkiego Koniuszego Francyi i od Panny *Lafayette* która, iak się spodziewam, nie odmówi Ci swojej przysługi." Tu Panna *Lafayette* zapewniła Królowę o swojej gotowości stosowania się do Jey rozporządzeń, a Opackiemu oświadczyła iż odpisze Hrabinie *Valois*. Nastąpiło pożegnanie. Wielki Koniuszy Francyi zaprosił Kasztelanica Polskiego do swoich pokoiów, gdzie przy poufalej rozmowie zasilili swoje żołądki.

Długo zabiegi i wymowa Andrzeia *Basio* były bezskuteczne. Również Mikołaiowi *Dębskiemu*, którego Władysław IV. dowiedziawszy się od *Bassaneta* o uwięzieniu Jana Kazimierza, wy-

ślał był do Francyi w charakterze Emisaryusza swojego, nie od razu się udało wręczyć Kardynałowi listy od Króla Polskiego. Szczęście wojenne przechyliło się pod ów czas na stronę Francyi i Szwecyi. Woysko Cesarskie zostało porażone pod *Bouchain*, a francuskie któremu przewodził Marszałek *Guebriant* przeszło Ren i obległo *Breischach*. Gabinety Madrycki i Wiedeński, przedsięwziawszy położyć tamę tryumfom nieprzyjaciela, wyprawiły liczne pod rozkazami Kardynała Infanta i Księcia *Piccolomini* na odsiecz *Breischachu* i *Saint Omeru* zastępy. Ostatnie z tych miast było obsaczone przez Holendrów. Kiedy Richelieu skłonił swego Króla aby wyjechał do *Amboise* dla pokazania się woysku; było podobieństwo że los Europy znówu się zachwieje. Uprzedził on Posłów zagranicznych że Jego Arcychrześcijańska Mość uwalnia ich od towarzyszenia sobie w téj

przejazd: skąd poszło że iak tamci tak i nasz *Basio* musiał pozostać w Paryżu. W tym przeciągu czasu kończyło się wszystko na posłuchaniach u ministrów *Chavigny* i *des Noyers* i na układach z Nuncyuszem *Saluzzi* i Posłem Genueskim. Ale ani owe posłuchania ani najlepsze chęci Saluzzego i Posła Genueskiego nie przysporzyły uwolnienia Jana Kazimierza. Mikołaj Dębski znalazł Richelieu w *Peronne* w Pikardyi, kędy ten minister był zajęty ukojeniem strwożonych umysłów i poczynieniem potrzebnych dla zasłonięcia Francyi od spodziewanego nayscia rozrządzeń. Obojętna odpowiedź Kardynała nie pewnego nie zwiastowała Dębskiemu. Powtarzał on mu to samo co dawniey był zarzucał Królewiczowi: z resztą uczynił nadzieię że ten Książę przez wzgląd na Króla brata swego będzie z końcem roku 1638 wypuszczony na wolność pod wa-

runkiem niezwłocznego powrotu iego do Polski. Ale przydał iż za nie nie ręczy, i po ostateczne rostrzygnięcie radził się udać do Króla Jegomości francuskiego, sam zaś obiecał wysłać kogoś ze dworu do *Salon* w zamiarze zerwania Królewicza polowaniem, rybołostwem, rycerskimi i tym podobnemi zabawami. Tak zbyty i nieaspokoiony Dębski, powrócił z *Peronne* w tym samym czasie, w którym Ludwik XIII. z *Amboise*, do Paryża. Jakkolwiek Dębski i Basyusz gorliwie pracowali w interesie Królewicza, wszelako bardzo długo czekali na sposobność, ostatny podania Ludwikowi XIII. listu Jana Kazimierza, pierwszy pozyskania audyencyi u tego Monarchy. W brew swoim przyrzeczeniom, zalecił przebiegły Richelieu, Panu *Bouthillier de Chavigny*, Ministrowi spraw zewnetrznych, aby ile możliwości nużył cierpliwość posłanników polskich. Pod po-

zorem sprostowania opinii publicznej o powodach przytrzymania Królewicza Polskiego, ogłoszono przez gazetę dworską zastarzałe przeciw temu Książęciu a sławę Jego szarpiące zarzuty. Samuel Opacki często odwiedzając Wielkiego Koniuszego Francyi, od którego zawsze uprzejmie i z otwartością był przyjmowany, coraz się więcej przekonywał że Ludwik XIII. nie prędzej o losie Jana Kazimierza wyrzeknie aczkiedy nową informacją od pierwszego Ministra odbierze. Oto czego się nasz Opacki dowiedział od Pana *Cinqmars*. Gdy Panna *Lafayette*, upatrzawszy raz porę, wystawiła Ludwikowi XIII. utrapienia Jana Kazimierza i uprzedziła go o wielkiej rękoiemi Królowy; Jego Arcychrześcijańska Mość nie zrazu nie powiedział na przełożenie Damy: przecież w końcu, siłą ięi wymowy i lez zniewolony, z miną niepokojącą w tych odezwał się słowach: nadzieia

którą Królowa nosi i na którą ręczyła za życie i bezpieczeństwo swojego kuzyna, nie do niej ale do Francyi należy. Zawsze prawidłem mego postępowania była i jest ścisła sprawiedliwość: osoba więc Królewicza Polskiego nie będzie tykana, dopóki ten Książę nie takiego na ziemi francuskiej nie pocznie, co by go w obliczu ustaw naszych mogło obwinić. „Słusznie, rzekł dopiero Pan *Cinqmars* wyczytawszy głębokie w twarzy Opackiego zmartwienie, słusznie powiadam trapi cię taka odpowiedź Króla Jegomości. Wszakże przebiła w niej nieszczęsna podeyrliwość którą Jego Królewską Mość natchnął Richelieu w *Peronne*, a do której powodem stała się obmowa. Głoszą tu o Janie Kazimierzu że to ma być śmiały, urodzeniem i już danymi dowodami męstwa zarozumiały, żadnego przymusu niecierpiący bohater. Przypuściwszy tedy że znieważony i po-

krzywdzony Królewicz zemstą za swe pokrzywdzenie oddycha; wniesć musimy że Richelieu nie byłoby trudno przywieść go do takiego kroku, iaki przewrotna jego polityka umiałaby wziąć za zbrodnię stanu, albo, gdyby mu się to nie udało, wmówić w niego zamachy iakie mu przez myśl nie przeszły. Jeszcze nie dojrzało co przyszłość nosi w swym łonie, i dla tego położenie twego Pana mam za bardzo niepewne."

Obietnica którą Kardynał był uczynił emissaryuszowi Władysława IV. nie przyszła do skutku. Nikt ze dworu nie był wysłany do Jana Kazimierza dla rospędzenia nudow jego samotności. Jak przedtem tak i teraz dozierał go Kapitan *Chantereine*, który zamiast coby miał słodzić gorycz Królewiczoskiego więzienia, to ieszcze przez wzmagającą się tak w czynach iak w słowach twardość

coraz dokuczliwszym stawał się dla niego utrapieńcem. Oprócz tego morowe powietrze pokazało się w *Salon*. Już iego zaboycze wionienie raziło wielu w mieście i w okolicy, iuż część służby Królewiczowskiéy padła ofiarą plagi, któręy, innym rodzaiem cierpień dręczony, nie zna mieszkaniéc pólnocy. Henryk *Korf*, Starosta Rewalski, pokoioiwiec Jana Kazimierza tą plagą dotknięty, znalazł dla siebie grób nad brzegami śródziemnego morza. Napróžno Królewicz, napróžno Butler i Opat Wąchoczek domagali się aby ich z téy dziedziny śmierci wywieziono. Takieto nowiny, a obok nich napomknienia Wielkiego Koniuszego, głucha odrętwiałość Ludwika XIII. i ledwie pokrywana swawola iego ministra, były przedmiotem rozmów posłanników dostojnego ienca, kiedy ci głębokiego smutku utulenia szukali w obecności Mikolaia Dębskiego Sekretarza Korony Polskiéy

wiego mieszkaniu przy Ulicy *Sainte Croix des Champs*. Szczęście wojenne odbiegło chorągwie francuskie. Talenta głównie dowodzącego Księcia *Piccolomini* obróciły w niwecz dotychczasowe wawrzyny woyska francuskiego. Niebezpieczeństwo wisiało nad karkiem Kardynała. Wszędzie tego Ministra było pełno: zewsząd on ściągał ostatnie siły Francyi przeciw wkraczającemu przez Alzacyą i Niderlandy nieprzyjacielowi. Gdy się to dzieje, Ludwik XIII. samemu sobie zostawiony, chwiał się iak trzcina, w zgryźliwym strapieniu to siebie to ludzi obwiniający, z Paryża do *Saint Germain*, z *Saint Germain* do *Fontenbleau*, stąd znowu do *Luwru* przejeżdżał, chcąc takowym, niekiedy łowami przerywanym, przejażdżkom nadać pozór czynności w śród beczynnego, na iaki sam się skazał, żywota. Przeciwnicy Kardynała a między tymi rodzina Królewska i własni

iego powiernicy, którzy od dawna, już to iawnie już skrycie knuli praktyki na obalenie iego potęgi, teraz chcieli z iego nieobecności i powikłań się korzystać, teraz przedsięwzięli wyzebrać na Królu wywołujący ich dumnego ciemiężcę wyrok. *Gaston de France*, Książę Orleanu, równie iak Jego Najjaśniejszy brat, niepodobny do Henryka Wielkiego, stanął bez siły, bez sprężystości, bez rozmysłu, bez dowierzającej otuchy, na czele niechętnych. Pod takim naczelnikiem a dwuznacznym kierunkiem iego poradnika Opata *la Larivière* wymagania narodu, iakkolwiek słuszne, i zamach pierwszych w kraju osób na starcie dumy iednego przeistoczyły się w pokątne dasy i skrytą intrygę, które Kardynał o tyle lekce ważył o ile te szkodzić iego potędze były nieudólne. Napróżno wśród murów swego mieszkania, w obec nayzaufańszych sług swoich, przysięgi Lu-

dwik XIII. iż tak nienawidzi pierwszego ministra że radby go w łyżce wody utopić: napróżno kilka razy na dzień zaklinał się iż mu obmierzło iarzmo Richelieugo, że iuż dziś sam odzierży berło, że iuż dziś po raz pierwszy w swem życiu zacznie być Królem. W tem Kardynał któremu do *Peronne* donoszono każde słowko, iakie w nayskretniejszem ustroniu Luwru mogło być rzeczone, powrócił do Paryża. Aż tu Ludwik XIII. zaraz przy pierwszym z nim spotkaniu, samego siebie i nawyłańszych sobie powierników oskarża o wymierzone przeciw wszechwładzy pierwszego ministra zamachy. Dla dumy Richelieugo było tymczasem tyle dosyć że ostremi wyrzuty napomniiał własnego Pana za to co beczelnie śmiał mianować zdradą: ale w nieprzeblaganej zemście swoihey położył na reiestr przyszłhey żaloby imiona tych którzy się wazyli słuchać utyskuiącego na swego

poddanego monarchy. Nikczemnem ulegnieniem, ieszcze nikczemnięszem wydaniem sług i przyjaciół swoich w ręce obrażanego ministra; a nadewszystko kosztem swego Książącego honoru okupił się *Gaston Orleański* od wywołania siebie z kraiu, któremu kiedyś mógł panować, a nawet od śmierci, którą go był zagroził śmiały Richelieu. (*)

Taka była osnowa rozmowy naszych Polaków. Przewidywali oni że w owczesnym stanie rzeczy będą stracone ich zabiegi i wysilenia. Jakoż, kiedy

(*) Gdy *Gaston* Książę Orleanu, którego iako brata Królewskiego tytułowano *Monsieur*, kazał raz ustąpić iednemu ze swych domowników z wystawy okienney, w którę sam się chciał usadowić; *Margrabia Saint Simon*, w głos naówczas powiedział: „A! to pierwszy raz *Monsieur* swoich przyjaciół nie zostawia na rozstłowaniu.”

z pochylonym karkiem, z pierzchliwie ślepiącym okiem przechodziły się po Luwrze boiaźliwość z nieufnością, mogliż ci poczciwi ludzie znaleźć dla siebie prawdziwego orędownika pomiędzy tymi którzy samych siebie pewni nie byli? „Już lato ma się ku schyłkowi, rzekł Mikołaj *Dębski*, a z obietnic Kardynała nic nam jeszcze nie przyszło. Zeydzie i rok a Królewicz nie wywdzie z więzienia. Już chwala Bogu półtora miesiąca bawię w Paryżu: a jeszcze, choćem szlachcic z dziada pradziada i emissaryusz Królewski, nie mogłem otrzymać posłuchania w Luwrze, i do rąk Arcychrześcijańskiego oddać listy prawowiernego Króla. Cóżby powiedzieli bracia nasi w Polsce gdyby o tem wiedzieli? Słyszałem, jeszcze młodzieniaszkiem będąc, że Król Francuski, tak iak nasz Polski, jest tylko *primus inter pares* (pierwszy między równymi) i że spoczywający w Bogu Hen-

ryk IV. którego maiestat zdobyły Królewskie i rycerskie cnoty, poczytywał ten przydomek za najpiękniejszy tytuł Monarchy: ale teraz iak widzę wszystko na opak idzie. Słabość niedoleżna Ludwika XIII. jest narzędziem gwałtów w rękę przemożnego, a obowiązkiem swego urzędu składającego się Ministra. Przyznam się wam moi Przyjaciele że kiedy mi Kardynał dawał posłuchanie w Peronne; iego słowa zrobiły mi iakątaką nadzieję, ale w kilka dni, iak mnie do Króla odesłał, przekonałem się że mnie tylko mamił. I mogłemże dostać się przed oblicze Króla Francuskiego, kiedy klucze od Jego pokoiów były u pierwszego ministra, iakem to postrzegł będąc u Panów *Chavigny, des Noyers* i u Ojca *Jozefa*? „Ma po sobie słusność Wielmożny Pan Sekretarz Koronny, odezwał się *Basio*. Wszakże ja, przez daleko dłuższy czas, daleko dolegliwszych lubo z tego same-

go wypływających źródła doznawałem przykrości. W tem iednak różnię się od Pana Sekretarza że nie przestaię budować na tym sławnym polityki pewniku iż cierpliwością i zabiegami późniéj lub prędzéj wszystko można zrobić. Kropla wody dżdżowéj gdy często spada, twardy kamień w piasek obraca. Otóż więc trzymając się owéj prawdy, ia, usunąwszy na stronę godność moię doktorską i wrodzoną do gwałtownych poruszeń ciała i rycerskich harców odrazę, z niemałym utrudzeniem a ieszcze z większem niebezpieczeństwem po głogach i głazach w Rambouillet, Boulogne i Fontenebleau utykałem na tyłach łowach za Królem Ludwikiem pieszo i wierzchem, abym raz do Niego dotarszy mógł Mu wręczyć list mego Miłościwego Pana. Ale na moje nieszczęście ieszcze mi się to nie udało.” „Bardzo temu wierzę, rzekł z uśmiechem Opacki, bo mi się nie zdaie aby ra-

mak i ieździec mogli sprostać tak trudnym zapędom, i uwieńczyć ie oswo-bodzeniem Jana Kazimierza. Według moiego widzimisię prędzéjby tego dokazało stotysięczne pospolite ruszenie Szlachty koronnéj i Litewskiéj, z przednią strażą drugie tyle wynoszącą sicz Zaporowskiéj; niż ty Panie Andrzeiu Basio. Gdybym ia był Królem Władysławem, to nie Panu Dębskiemu ale takiemu poselstwu kazałbym wyruszyć do kraiu którego poddani nayniegodziwszych w imieniu Panującego dopuszczają się bezprawiów.” „O! zapewne byś tak nie zrobił, odparł Mikołaj Dębski, gdybyś był Królem Władysławem. Widać żeś zapomniał o złym sąsiedzie Szwedzie, z którymśmy nie dawno wątył pokóy zawarli. Właśnie taka wyprawa Rzeczypospolitéj Polskiéj niezłą byłaby dla niego gratką. Z drugiéj strony: gdyby Césarz pozwolił wojskom Polskim przechodu przez kraie

Rzeszy niemieckiej; czyżby można było nieobawiać się Książąt Luterskich, stronników Kardynała, wiedząc że pierwszy minister Francji, kiedy ogniem i mieczem tłumi nową naukę w swęj oyczyźnie, to w tym samym czasie broń i zasila Kacerzów Niemiec i północy? Nareszcie, przypomniałszy sobie że u nas w Polsce trzeba naprzód zwołać stany a dopiero według ich uchwały czynić, i że jeszcze nasz Król Władysław bawi u wód Badeńskich pod Wiedniem dla poratowania zdrowia; tedy musimy przyyść na ten wniosek że twoie pomysły Panie Kasztelanicu, iakkolwiek piękne w brzmieniu, byłyby bardzo trudne w wykonaniu.” „*Hic haeret aqua* (tu sęk), z powagą Doktor ską odezwał się *Basio*: tu jest nad czem łamać głowę. Miło mi, Mości Protosekretarzu i Starosto, żeś nam dał poznać to o czem ja Andrzej *Basio*, iako niskiego znaczenia człowiek nie

ważyłem się napomknąć w obec tak światłego męża. Ile moim płytkim rozumem dociec mogę, tedy wśród obecnego stanu Polityki nienaylepiej w Luwrze i w *Ruel* będzie widziana podróż do Baden i po niej nastąpić mogący zjazd Nayiaśniejszego Pana naszego z Jego Cesarską Mością Szwarem swoim, chociaż my najmocniej jesteśmy przekonani że w tem wszystkim nic podeyrzanego, nic politycznego nie masz. Otóż z tych powodów, za twoim Wielmożny Panie Dębski uznaniem, chciałbym korzystać z czasu, to jest, nim nadeydzie urzędowa o podróży pod Wiedeń Króla Władysława wiadomość, zastosować lekarstwo moiego politycznego natręctwa, aby znikły wszelkie zawady a Andrzej *Basio* iak odważny Mucyusz Scewola przedarł się do obozu Porsenny.” „Winszuję Ci tak wzorowey gorącości ducha, Panie *Basio*, rzekł Samuel Opacki: ale iednak

radziłbym Ci, ieżeli myślisz dotrzeć do Króla Ludwika, żwawię niż było w *Rambouillet* i *Boulogne* zwierać bodźcem twego rumaka.” „A czyż rozumiesz szanowny Panie Kasztelanicu, odparł urażony Włoch, że kiedy tobie, iako młodemu szlachcicowi Polskiemu, tak dobrze się powiodła bytność u Pana *Cinqmars* a z nim u Dam wielkiego znaczenia, to iuż nie podobnego Licencyiatowi wysokiey szkoły Padewskiey udać się nie może? A przecie uważ do kogo się wybieram: oto do Króla który w zimnéy krwi i leniwym namysle czerpa prawidła sprawiedliwości, oto do ministrów wiekiem i doświadczeniem znamienitych u których nie iu nactwo szlacheckie ale osobista powaga i dyplomatyczna wymowa popłaca. Uważ przytem że wymowy, téy wyzwolnéy sztuki, prędzę zaiste można zostać mistrzem w przesławnych auditoriach moiego rodzinnego miasta Padwy, niż

w waszém, który zresztą ubliżać nie myślę, Polskiey palestrze.” „Jakkolwiek, przerwał Dębski żarliwemu mowcy, poważam twoie talenta Panie Basio i pochwalam plany twoie, muszę ci iednak powiedzieć że wtenczas dopiero naśladowałbym twój przykład, kiedyby emissaryuszowi Monarchy przystało to czynić, co przystoi słudze poddanego: boć, mówiąc prawdę, Pan Twój lubo Królewicz wszelako iest poddanym” „Co do mnie, rzekł zadumany Opacki, ia radbym powrócił dō *Salon*. Ostróżność Panny *Lafayette* z iednéy a rostargnieniem Pana *Cinqmars* z drugiey strony nie czynią mi nadziei abym tu coś więcéy wskórał nad tę małą pociechę iaką Królewicz z rękoymi Królowy odniesie.” „A! to nie mała rzecz, odezwał się Dębski. Rękoymia którą Anna Rakuska uczyniła za życie swego kuzyna nie może nie zastanowiąć Ludwika XIII: bo kiedyć to prawda

że ten Monarcha rad przychyła ucha wroźbitom i Astrologom, więc Kardynał nie tak łatwo potrafiłby wybić mu zgłowy zabobonną lęklivość, iak przypięł w nim inne, Monarchy godniéjsze, uczucia.”

W kilka dni po takowéy rozmowie naszych Polaków, wybrał się Andrzej Basio do palacu *Saint Germain en Laye*. Tu po schodach i po korytarzach zastał roje zbroynych Szwaycarów, młodéy skrzętnéy liberyi, dworaków nareszcie z przytępieniami na pieczeniu Pańskiéy zębami. Oboie Królestwo byli co chwila spodziewani. Z potulną miną w rogu wielkiéy galeryi obrał stanowisko nasz Andrzej Basio, skąd wygodnie mógł na główne drzwi rzucić badaweze oko. Figury dworskie, które go dawniéy w *Fontenebleau* i *Rambouillet* na łowach a w Luwrze na pokojach poznały; teraz, choć się ocierały o niego,

zdawały się go niewidzieć lub postrzeżonego miiąć podwoionym krokiem. Ale Basio był na to wszystko obojętny: im więcej osób przesuwalo się wedle niego zmierzając ku wielkim drzwiom palacu, tym on troskliwiéy śledził okiem i palcami po sobie czy mu nie zaginęło to co w zanadrze był schował. Wtem otaczający Bazyusza dworzanie czyniaram iakiemuś wysokiego stopnia urzędnikowi. Byłto Pan *Bouthillier de Charigny*, minister spraw zewnetrznych. „A ty się tu iak dostałeś, Panie Sekretarzu? tonem nie bardzo dodającym serca zapytał minister: i co Cię przypędziło do *Saint Germain*?” „Chęć widzenia sławnego palacu, Mości Ministrze, z zimną krwią odpowiedział Licencyjat. Jakoż, iezeli nie zadlugo mam dostać odprawę, iak to mi sam Miłościwy Pan Minister raczył zwiastować, iezeli mam opuścić przesławny Paryż; tedyby nie do darowania było, gdyby

tyle podróżujący, tyle ciekawy licencyat musiał piec raki iakby go zapytano o ten okrzyczany widok iakiego lud z téy sztuczney tamy używa.” „Co na to, to ieszcze masz dość czasu, odpowiedział *Chavigny*: szkoda więc żeś obrał dzień w którym Jego Królewska Mość tu się znajduje, i w którym dla tego nikomu z obcych nie wolno zaspokaiac swoię ciekawość.” „Nie przeczę temu, dostoiny Panie Ministrze spraw zewnętrznych, tonem przewłocznym zaczął mówić Basio, ale iednak muszę zastanowić Twoię łaskawą uwagę, czego z resztą dobrze iestes świadom, że iak wiele innych naywyższego i wysokiego stopnia osób, tak też i ia Andrżey Basio nie koniecznie przez samą ciekawość, choć ta nie byłaby w tym razie naganną, przybyłem do Francyi. Rozumiałbym ieszcze, że ia w myśl artykułów *Juris publici* które tu w Paryskiej akademii z Padewskich Kollektaneów

iest dawane i z mocy iakiegokolwiek moiego urzędu przy znakomitym Książęciu, imieniem którego iuż nie raz z Tobą dostoiny ministrze ukladać się miałem zaszczyt, iż mówię ia nie powinienbym być rachowany do tych pospolitych podróży, których wstęp do Pańskich pokoiów od Pańskich humorów zależy, i albo im wzbroniony albo dozwolony być może. Kiedy więc teraz oko Królewskie ma rozlać światło po komnatach swego palacu *Saint Germain en Laye*, kiedy teraz mają się rostworzyć zamykane pod nieobecność Pańską okna i drzwi gmachu, tedy wstęp do niego nie powinien mi być wzbraniany choćby też mi o to tylko chodziło abym zbogacił moię topograficzną znaiomość.”

Basio był dopiero w połowie swéy mowy, kiedy znudzony minister uczynił odwrót: przez co mowca, zmuszo-

ny zawiesić chryią na iednym z głównych okresów, uyrzał się w kole śmiejących się z niego słuchaczów. Wtem wsczyna się sykanie przy rogu galeryi, rospierzchaia się obecni, tłum się rozhwor, następuje powszechne, z uszanowaniem połączone, milczenie. Złaską w rękę stanawszy w przedsieniu wielkiego wchodu kapitan gwardyi, silnem w tło kamienne pukaniem daie znak ostrzeżenia i woła: Moście Państwo uciszcie się i uczynicie rum Królestwu Ich Mościom. Świetnym otoczonego poczetem postrzeżono Arcychrześcijańskiego Króla prowadzącego Królowę za rękę. Jego blado śniadacera, iego oko bez życia, iego zawczesnemi marszczkami zaorane czoło, iego leniwe ruszenie, świadczyły że syn Henryka IV. ani osobą ani umysłem nie był podobny do swojego dawcy życia i tronu. Widok zgromadzonego ludu, zadnego na nim nie czynił wrażenia, kie-

dy przeciwnie Królowa, lubo z powodu swojej słabości zaledwie mogąca sprostać iego szerokim krokom, z uprzejmą łaskawością starała się odpowiadać na ukłony obecnych. Przybywszy oboje Królestwo do wielkich drzwi pałacu, udali się, każde z osobna, do swych pokoiów, a mianowicie Królowa spierając się na swojej damie szatney, Margrabinie *Senecey*, i otoczona swym dworem, do starego zamku na iey mieszkanie przeznaczonego. Pieczętarz *Chateauneuf*, któremu kardynał Richelieu na czas swojej nieobecności poruczył czuwanie nad osobą Ludwika XIII. miał ten zaszczyt że z nim przed innemi w posłuchalney sali wdał się Król w rozmowę: poczem Monarcha zdawał się czekać czy kto inny nie przystąpi do niego. Właśnie myślił to uczynić Pan *Seguier*, teść Kanclerza Księcia *Sully*, gdy wtem nasz *Basio*, wysuwa się naprzód, uniżenie kłania i wy-

ciągnięty z zanadru papier podnosząc do góry, głosem dobitnym w tych słowach przemawia do Króla: „Oto tu jest, Nayiaśnięwszy i naypotężniejszy Królu i Panie! list od kuzyna Waszég Królewskiég Mości, Jana Kazimierza Królewicza Polskiego, który, zapewne mimo wiedzy i rozkazów WKMości uięty i do więzienia wtrącony, pismo swoje niniejsze przeze mnie swego uniozonego sługę i sekretarza, oboygą praw Licencyata Padewskiego, przesela, dopraszając się z należą uczciwością, abys WKMość to Jego pismo przeczytał a swoich Ministrów i urzędników za ich niegodziwe z Książęciem krwi królewskiég obeyscie się ukarać raczył.”* Posłyszawszy początek takowég przemowy, postąpił na przód Ludwik XIII. chcąc zayrzyc woczy suplikantowi, ale dalszy iég ciąg rozniecił rumieniec na licach monarchy i zniewolil go że, słowa nie rzeklszy, od-

wrócił się i zaczął uchodzić przez tłum zdumiałych dworzan. Kiedy ci w okamgnieniu uczynili rum Monarsze, On ieszcze raz obeyrzał się na Andrzeia Basio, a postrzeglszy że ten ciągle do góry list trzymając zdaie się Go ścigać; podwoił krok ku drzwiom bocznym, otworzył ie drżącą dłonią, schronił się do gabinetu i zaryglował go po sobie. Było to niesłychane w dzieciach Ludwika XIII. zdarzenie. Od czasu iak Biskup *de Luçon* po konnetablu *de Luy-nes* przewodził Francyi i Królowi, nigdy ani nawet wtenczas kiedy Kardynał przemożnem ramieniem starł powagę Książąt krwi Królewskiég a dumę magnatów, nigdy mówię tak iawną skargą i tak śmiało o sprawiedliwość wołanie nie obily się o uszy Syna Henryka IV. Gdyby na iakie dziwowisko, spoglądali zdumieni i drżący dworacy na odważnego Włocha: on zaś, kiedy Król znikł mu z oczu, z zi-

mną krwią wsunął zapowiedziany list do czerwonej aksamitnej koperty, i z nią schował go w zanadrze. Wtem roztwierając się drzwi gabinetu, do którego schronił się był Król Jego Mość, i z nich, cały w płomieniach, wybiega Hrabia *de Trèmes*, General Porucznik Woyska a teraz służbowy kapitan gwardyi Królewskiej, w jednej ręce trzymając laskę jako godło swego urzędu, a drugą wciskając na spoczone czoło znaczny buiałymi piórami kapelusz. „Król, rzekł zadyszany kapitan do Sekretarza Jana Kazimierza, Król mówię jest w najwyższym stopniu zadziwiony, żeś ty Mospanie śmiał tak blisko posunąć się do Jego świętej osoby i sam samemu Najjaśniejszemu Panu oddawać twoje pismo. Taki obyczaj i jeżeli u was w Polsce, to nie u nas we Francyi uchodzi. Kiedyś miał list do Jego Królewskiej Mości, to go było złożyć u Pana *Chavigny*. Otóż teraz

mam ci honor oznaymć, iż wolą Króla Jego Mości iest, abyś odtąd nie ważył się znaydować ani w *Saint Germain* ani nigdzie w bliskości Jego świętej osoby.”* „Bardzo trafną czynisz uwagę, Panie Generale i Gwardyi Kapitanie, że zwykłą sobie flegmą odpowiedział Basio, że inny obyczaj w Polsce a inny we Francyi. U nas, Król Władysław IV. w naydobrotliwszym swoim myślenia sposobie sam bada zażalenia ludu przeciw Ministrom i innym wysoko a drogo sadowionym urzędnikom, bo sam, zniósłszy się ze swymi Senatorami, chce pociągać winnych do odpowiedzialności i tym sposobem sam wymierzać sprawiedliwość która, iż tak rzekę, nie iest zapewne mało znaczącym Królewskiego dostojenstwa udziałem. Wielka zaiste różnica zachodzi między naszym a waszym obyczajem. Ileżto ja razy biegałem do Jego Kardynałskiej Eminencyi i do Jego

Ministrowskiéy Mości, do tego tu obecnego Pana Chavigny; i ileż to razy niezczem byłem odesłany iak od iednego tak od drugiego? Tymczasem niegodziwe uwięzienie coraz silniéy daie się we znaki moiemu naylepszemu Panu, a grasuiący w mieście *Salon* pomorek grozi niebezpieczeństwem drogiemu życiu Jego. Otóż tedy nic dziwnego że nayusilniéy i nayuniżeniéy dopraszam się i naprzykrzam, aby Jego Królewiczowskiéy Mości Panu moiemu przynaymniéy inne miejsce pobytu i to niezwłocznie było wyznaczone. Jeżeli nad spodziewanie moje i mimo chęci moiéy wykroczyłem w tem, żem się udał do Saint Germain i wcisnął do tych pokoiów, tedy nayuniżeniéy proszę Cię Miłościwy Hrabio *de Trèmes* abyś mi to raczył wybaczyć. Wszakże nie przeniesłbym na siebie, abym tam gdzie idzie o zdrowie i życie Królewicza ia miał zważać na kwaśne miny

Panów Ministrów a nawet na czynione mi pogróżki, i schodzić z drogi którą mi przepisuie moja powinność i dobrze mi znane z kursow akademii Padewskiéy *jus publicum*.”* Wysłuchawszy takowéy mowy naszego Sekretarza Hrabia *de Trèmes*, podał mu rękę i rzekł po cichu: *Com ci powiedział, to było zroskazu Króla. Teraz widzę, że ieśteś uczciwym człowiekiem i dla tego poprzyiacielsku radzę ci abyś uchodził przed obecną burzą, abyś się oddalił z Saint-Germain gdzie niczego dobrego nie możesz się spodziewać. Wszakże zresztą możesz działać iak ci twoia wierność, twój sposób myślenia i twoie Padewskie prawoznawstwo podyktuią. A co do mnie, bądź pewny moiego dla ciebie szacunku i naylepszego życzenia.* „Przenikniony wdzięcznością, rzekł Basio kłaniając uniżenie, za twoię Panie Hrabio przychylnosć i radę, oddalę się z *Saint Germain* nie da-

lę jednak iak do Paryża, gdzie da Eóg naprzykrzać się będę tym Panom (to mówiąc skazał na obok stojącego Pana *Chavigny*) hołdami naygłębszego uszanowania moiego, rano, w południe, wieczór i o północy, azaliż przecie raczą mnie wysłuchać, to iest uczynić według prawideł słusności, choćby też mi w swoiędzy mądrości mieli przeznaczyć na mieszkanie Bastylią lub *Chatelet*. Wszakżeby nic dziwnego nie było, gdyby sługę tem poczestowano, czem iuż uraczono Pana.” To powiedziawszy Basio pożegnał Hrabiego i obecnych, i powołnym krokiem wyniósł się z pałacu.

W kilka dni po takowem zdarzeniu, przyszło do Pana *Chavigny* urzędowe wezwanie aby odebrał od Andrzeia Basio list który Jan Kazimierz przed miesiącem był pisał do Króla Francuskiego, a uwiadomienie do Mikolaia Dęb-

skiego iż Ludwik XIII. da mu tajne posłuchanie. Kiedy więc Dębski wybrał się do Saint Germain; Samuel Opacki i Andrzej Basio postanowili pozostać i czekać go w iego mieszkaniu. Tu zamyślony Kasztelaniec zdawał się niesłyszyć gadaniny Licencyjata, kiedy ten rozsiadłszy się w krześle iął wyrozumowywać materią i wypadek posłuchania u Króla. „Otóż widzisz Mospanie Kasztelanicu, temi słowy zamknął Basio swoją sprawę, że stary wytrawiony Sekretarz nie usterknął w swoich rachubach. Oszczędnie i z rozważą szafowane krople moiej czynnej wymowy nie bezskutecznie kapaly na opoczyste serce Króla: bo ie tyle zmięczyły iż Ludwik XIII. nie zważając tą razą na nieobecność Kardynała Richelieu, kazał sobie podać listy Królewicza Jana Kazimierza i Króla Władysława: po czem iuż sam obyczaj dworu wymoże odpowiedź. Oprócz te-

go, Nuneyusz Oyca S. Urbana VIII. i Posel Rzeczypospolitey Genueskiéy udali się dziś rano do Saint Germain, chcąc swoim pośrednictwem uwiecznić wypadek udzielonego naszemu protosekretarzowi posłuchania. Nie zwalniamy tedy naszéy sprężystości, ale owszem niech każdy z nas według sił swoich przyczynia się do ukończenia dzieła nad któremśmy tak długo i tak gorliwie pracowali.” „Wypadek posłuchania Dębskiego u Króla, odezwał się Opacki, będzie dla nas skazówką co mamy dalej począć. Ale, iakkolwiek bądź, przyznam ci się Mospanie Basio, że już zaczynam przykrzyć sobie w Paryżu. Od kilku dni wszystko mi się zdaie że iakieś nieszczęście zagraża naszemu Panu i że go dosięgnie jeżeli ia tu dłużej bawić będę. Z resztą, oczekiwany wypadek posłuchania nie czem innem będzie tylko ową odpowiedzią rady Królewskiéy o którą dowiadywać

się u Pana Cinqmars i u Panny Lafayette polecila mi Królowa, a po zapadnięciu któręy ia tu nie będę miał co robić. Muszę więc wyiechać z Paryża albo ieszcze dnia dzisieyszego w nocy albo iutro rano. Po twoim doświadczeniu i roziaśnionem nauką rozeznaniu wnosząc że znękasz czychającą na naszą sprawę kabałę, spokojny pospiesz się do *Salon*, abym, jeżeli będzie potrzeba, z tym orężem w ręku był gotów na obronę Jana Kazimierza.” Kiedy Opacki wymawiał te słowa; otworzyły się drzwi, wszel paż w liberyi Wielkiego Koniuszego i zapytał się o Anspeçada Błażeia *Maguiet* z przewołnéy straży Hrabiego Valois. Odbrawszy odpowiedź, oddał Opackiemu opieczetowany bilet, przydając iż nie żąda odpowiedzi i odszel. Osnowa pisma była następująca. — Sprawdziło się com ci przed kilką dniami powiedział. Twóy przyziaciół jest w niebes-

pieczeństwie. Nie dopuść aby się dał uwieść podstępom. Jest on odłączony od swych towarzyszków i przeto popieszay a przynajmniéy zbliż się do mieysca iego pobytu i tam staray się przestrzedz go iakimkolwiek sposobem aby tego co mu nieznané usta doradzać będą nie słuchał i nie przyjmował. Inaczéy bowiem poda na szwank swe życie a wielka rękoymia nie poradzi złemu. Pişę do ciebie z polecenia osoby która nosi wielki zakład. Spal list — „To iedźże z Bogiem, rzekł z westchnieniem Basio, gdy mu Opacki dał ten list przeczytać. Zapewne teraz potrzebniéysza twoia szabla niż moje foliały prawa publicznego doktorów Padewskich i Hugona *Grotiusa*. Zresztą cóż podoła polityka przeciw iawnéy i skrytéy przemocy która przedzę tamtéy, naytroskliwiéy i naymozolniéy usnutą, iednem cięciem miecza przecina? a przecież ani *Castrucio Castracani* ani Ma-

chiavelli, który tamtego pişal pochwałę, nie mogliby się ubiegać o katedrę polityki w moim rodzinnem mieście.”

„Pan Basio zawsze iedną piosnkę spiewa,” raptem wchodząc zawołał Mikołay Dębski. „Obyś nam weselszą zanucil” odezwał się Opacki. „Moia sprawa jest skończona, odpowiedział Dębski. W mowie swoiéy którę się na pamięć nauczył, nie szczędził Ludwik XIII. pochwał dla swego Nayiaśniéyszego Brata Władysława IV, a utyskiwań nad losem Królewicza. Ale w Jego obumarłych licach nie malowało się naymniéysze wzruszenie. Rostargniony i nieradny słuchał słów listu czytanego mu przez pieczętarza *Chateau-neuf*, potem coś bez związku zaczął mówić o stosunkach władzy naywyższej, a w końcu dał mi znak żegnaiący. Po takiéy odprawie, we dwie godziny, które na naynudniéyszem ugoszczeniu spędziłem,

wydano mi odpowiedź Arcychrześcijańskiego do naszego prawowiernego Króla. Mam ją przy sobie. Chcecież abym ją wam przeczytał? posłuchaycie.

* *Najjaśniejszy i najpotężniejszy Królu, Bracie i Kuzynie nasz najmilszy!*

Z taką samą boleścią serca byliśmy zmuszeni rozkazać przytrzymać Królewicza Jana Kazimierza, naszego najmilszego kuzyna a Waszég Królewskiég Mości Brata, z iaką W. K. M. o tem Jego przytrzymaniu mógłś się dowiedzieć. Aczkolwiek bowiem ten dla W. K. M. chowamy affekt iaki sobie raczysz rokować i za iaki, stosunkami wzajemnéj życzliwości zniewoleni, przede wszystkiem ręczymy; nie inaczej przecież, tylko tak iak się nam podobato, mogliśmy się obeyść z osobą najscislej z W. K. M. i z nami samymi po-

tąconą. *Wszakże, jeżeli bezpieczeństwo kraiu i spokojność poddanych, na które szczególnie baczyliśmy w téj potrzebie, każdy monarcha pieczętować powinien; tedy W. K. M. któremu Bóg najrozlegléyszego Królestwa berto poruczył, miłość braterską na stronę odłożywszy a wszystkie względy i okoliczności Królewskim umystem zważywszy, sam osądzisz czyśmy mogli inaczej postąpić. Znano wszem w obec i każdemu, że rzeczony Najmiłościwszy Królewicz dworowi Rakuskiemu, z którym bój toczymy, zawsze i najwięcej sprzyiał, że w niedawno upłynionych latach z nieprzyjaciółmi naszymi taczyl się i z nimi przeciwko nam oręż nosił, a teraz właśnie, kiedy w wojnie iesteśmy, nie w innym celu iak żeby wszet w służbę Katolickiego Króla do Hiszpanii się wybrał; gdzie, iak wieść niesie, ma dostać wielkorządztwo iednéj z nadmorskich prowincy, aby stamtąd*

tym snadniey pożar wojny po Francyi rozszerzał. Wtym widoku, nieopatrzony paszportami, które iednak wszyscy cudzoziemcy przez kraie nasze zwłascza w czasie wojny przejeżdżający mieć są obowiązani, iakby nieznaomy na nasze brzegi wylądował, i tu twierdząc, zamki i część téy prowincyi która naybardziéy na napaść Hiszpanów wystawiona, przez ich roboty tyle razy cierpiała, przegłądał. Otoż teraz racz W. K. M. w swoiéy mądrości osądzić czyby nas cały świat nie obwiniat, gdybyśmy Królewicza JMci, portów, zamków i całej prawie Prowancyi dobrze świadomego, z wyraźnem naszym niebezpieczeństwem a z korzyścią naszych nieprzyjaciół, wolno byli puscili. Nie wątpimy zaiste że, wszedwszy w nasze powody, uznasz Nayiasniéyszy Panie, iż Królewicz JMśc z własnéy swoiéy winy i przez żarliwe nieprzyjaciółom naszym poświęcenie się, popadł w to któ-

re dziś nas wszystkich dotyka, utrapienie, i że my, chcąc ustrzedz od szwanku dobro krajów naszych, nie mogliśmy niebyć zmuszeni kazać zabespieczyc Jego osobę. Ale uchoway Boże, aby konieczność która nas do takiego kroku zagnęła miała iakkolwiek nadwzględic te związki przyjaźni które od tylu wieków łączyły nasze Królestwa: my zaś od siebie uroczyscie ninieyszem W. K. M. zapewniamy, że to z naszéy strony nigdy nie nastąpi, obszerniey zaś wynurzyliśmy się szlachetnemu Panu Dębskiemu, oddawcy listów W. K. M. a teraz naszych. On opowie iak chętni pokwapimy się uwolnić Królewicza JMci, skoro taką, iaką temuż szlachetnemu Panu Dębskiemu wyttłomaczyliśmy rękoymią bezpieczeństwa otrzymamy. Tę naszą odpowiedź kończymy zapewnieniem iż prosimy Boga aby Waszą Królewską Mość zachować w swoiéy świętéy opiece raczył.

*Dan w Pałacu naszym Saint Germa-
in en Laye, dnia 27 miesiąca Paździer-
nika, roku zbawienia 1638.*

LOYS (*).
Bouthillier.*

(*) Ludwik XIII. podpisywał się *Loys*,
XIV. *Lovis*, a dopiero Ludwik XV:
Louis.



Dział N
Znak 3457
№ inw. 3556

